Nr. 43. 25. Grudnia 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^{1}/_{2}$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^{1}/_{2}$ zł., kwart. $2^{1}/_{4}$ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^{1}/_{4}$.

Od redakcyi.

Dzieje kilku ostatnich miesięcy zwróciły usiłowania nasze w sprawie narodowej na pole czysto polityczne. Literatura dziennikarska stanęła dzisiaj przeważnie na tem polu.

Gorąca chwila wymaga od dziennika artykułów wprost politycznych. Tych jednak nie wolno nam zamieszczać. W udzielonej nam koncessyi powiedziano wyraźnie, że nam nie wolno pisać o najbliższej naszej przeszłości i dziejach dzisiejszych (Geschichte der jüngsten Vergangenheit und politische Tagesgeschichte), również nie wolno umieszczać rozpraw o naszych politycznych, społecznych i religijnych stosunkach, ani wydarzeń miejscowych podawać do wiadomości publicznej.

Liczne opóźnienia naszego pisma świadczą o trudnościach, z jakiemi walczyć musiała redakcya z powodu powyższych ograniczeń. Nie raz już z prasy wyrzucano całe artykuły lub przedsiębrano nowy nakład.

W takim stanie rzeczy nie widzimy potrzeby wydawania dalej pisma, któremu nie wolno podnosić tego, co nas dzisiaj najmocniej obchodzi. Żal nam, że mimo serdecznej zachęty ze strony naszych abonentów, nie możemy odpowiedzieć ich życzeniom. Do tego w miarę rosnących prawie codzień wypadków politycznych mnożą się, i rozszerzają zakres swego działania krajowe polityczne dzienniki. Z nowym rokiem zaczyna wychodzić trzeci dziennik polityczny z felietonem poświęconym literaturze.

Nie chcąc więc rozdrabiać sił pracujących, zwijamy pismo nasze, które dotąd utrzymywało się własnemi naszemi ofiarami i ofiarami współpracowników. Dłużej nie chcemy po nich wymagać tych ofiar, ani ich sami ponosić nie możemy.

Wszyscy prawie abonenci nasi kończą z tym numerem swój abonament. Tym zaś, którzy do końca stycznia lub dalej zaprenumerowali, damy pismo zbiorowe, które staraniem kilku tutejszych literatów na początku roku wyjdzie, a w którego skład wejdą także artykuły, które w „Kółku rodzinnem" drukowane być nie mogły.

KONFEDERAT.

Z kroniki małego miasteczka.

(Dokończenie.)

Podczas gdy Mateusz Piróg pod ciepłą pierzyną różne sobie o tem zdarzeniu układał relacye, które dnia jutrzejszego szanownej radzie miasta miał przedłożyć, na dębowej ławie u Radysza siedział ów żyd mniemany, ale tak się jakoś odmienił, żeby go nikt nie poznał. Nie miał ani pejsów ani brody siwej, był czerstwy i rumiany na twarzy, a czarne w górę podkręcone wąsy sięgały aż gdzieś do uszu. Ubior jego składał się z ceglastego żupana, u boku wisiała ta sama krzywa szabla, która przed chwilą takim strachem nabawiła biednego bednarza.

Po drugiej stronie stołu, oparty na rękach siedział gospodarz. Byłto mężczyzna w sile wieku, postawy atletycznej. Czarny, kędzierzawy włos i błyszczące oko znamionowały człowieka przedsiębiorczego. Na stole między siedzącymi stał dzban polewany, z którego koleją śród rozmowy popijali. Koło pieca na ławie siedziała staruszka. Stojące koło niej kule świadczyły, że biedaczka albo była kaleką, albo na starość na nogi zaniemogła. Twarz jej była żółta jak pergamin, oczy patrzały w słup bez blasku i życia, a sine pomarszczone usta szeptały pacierze.

Gospodarz śród rozmowy rzucał często smutne spojrzenie na ławę pod piecem, a po każdem takiem spojrzeniu zdawało się, że wpadłszy w zamyślenie nie słyszy mowy swego gościa. Ten zaś popijając z dzbana prawił nieustannie:

— To wszystko drapichrusty, zaledwo rękę na nim położyłem, już zadrżał jak przed cerulikiem! Kołtun jak wszyscy jemu równi i basta. Spać pod ciepłą pierzyną, rano kufel piwa ciepłego z serem, sztukę wieprzowiny i kołacz przeniczny to u was wszystko! A jak się zowie, Piróg! ha ha ha, to prawdziwy piróg. Kapuściana dusza zawinięta w tym pirogu!...

— Czy się zwie tak lub owak, zawołał gospodarz podnosząc głowę i wstrząsając czarnemi kędziorami, czy się zwie tak czy siak, to przecież może być tak dobry, poczciwy i butny jak każdy inny!

— Hola mości Radyszu! odparł gość, już to ani Piróg ani Kapusta nic wielkiego nie dokażą. Ja każdego dnia, gdy wstaję i pacierz mówię, dodaję w końcu te słowa: Marcinie, pamiętaj, że się zwiesz Popiel, a chociaż masz tylko pół włóki gruntu, to

przecież musisz tak żyć czysto i uczciwie jakbyś był królem polskim. Bo musicie wiedzieć, że Popielowie to familia królewska.

Bednarz machnął ręką i rzekł:

— Znałem ja i z waszych wiele nieuczciwych ludzi. Ot naprzykład Jakób Zawiłła z Dąbrowy...

— To być nie może, przerwał mu Popiel, Jakób Zawiłła z Dąbrowy, (którego wcale nie znam) jeźli jest urwipołciem, to pewnie nie szlachcic, ale jakiś wtręt lub żydowin, a przynajmniej z matki Tatarki— albo —

— Panie Marcinie, rzekł bednarz, kładąc na ramieniu szlachcica szorstką, spracowaną rękę, wiem ja mości Popielu, że każdy z was, co to tam w skrzyni jakieś papiery po ojcu chowa, jest butny i pyszny i na człowieka z góry patrzy. Wiem ja, że Piróg i wielu innych mieszczan nie są jak byli święci, o których w niedzielę w tej dużej książce czytam. Ale wam przecież nie godzi się wygadywać...

— Wy Szymonie jesteście człowiekiem uczciwym, przerwał Popiel, ale więcej nad swoją uczciwość nic nie rozumiecie.

— Czegożbym nie rozumiał? zapytał bednarz.

— Wasze całe szczęście jest tłuste podgardle wieprzowe i kiszki z kaszą — ciągnął dalej przybyły.

Bednarz ścisnął pięść i roziskrzonem okiem rzucił na mówiącego. Popiel jakby tego nie widział. Sięgnął po dzbanek i spory haust z niego pociągnął.

— Wasz brzuch jest waszym Bogiem, mówił dalej niezmieniając tonu, toż hodujecie go jak arbuz na grzędzie, aby był duży i tłusty jak wieprz karmny. A my, mości Szymonie, my, co to w skrzyniach mamy papiery po ojcach, jesteśmy zawsze gotowi nadstawić karku za Rzeczpospolitę i króla, a nawet dać sobie brzuch na wskróś rozpruć.

— Gdyby tego potrzeba było, mruknął bednarz, to każdy człowiek poczciwy mógłby to samo zrobić.

— Ba! przerwał mu Popiel, ›gdyby tego potrzeba było!‹... Wy naprzód w waszej radzie miejskiej musicie długo radzić, czy potrzeba czy niepotrzeba, a w końcu okaże się zawsze z narady, że niepotrzeba!..

Bednarz spuścił głowę i zadumał się. Popiel tymczasem wypróżnił dzbanek, a ukroiwszy spory kawał chleba, który na stole leżał, posypał go solą i najspokojniej sobie zajadał. Po niejakim czasie odezwał się znowu:

— Ej co tam nad tem myślicie, tak jakbyście co mądrego wymyślić mogli!... Już to, co ja wam powiem, do waszej głowy nie przypadnie! Wasze miejskie głowy wyłysiały pod baraniemi czapkami, ale głupiuteńkie jak dynie!

— Marcinie, gdybyście nie byli w moim domu i z mego dzbana — przerwał mu groźnie gospodarz.

— Tylko jedną rzecz pozwólcie sobie powiedzieć: Czy miłujecie wy matkę waszą?

Bednarz spojrzał na ławę pod piecem, a jego oczy napełniły się łzami. Jakieś dziwne wzruszenie owładnęło go śród rozmowy z swoim gościem.

— A jakżebym nie miłował, odparł, toż ona jedna na świecie mi została.

— Otóż każdy z naszych, odparł potomek królewski, ma oprócz swojej matki jeszcze drugą matkę, którą więcej miłuje od pierwszej. A wiecie kto jest ta matka nasza?

Bednarz podniósł głowę i z ciekawością patrzał na Popiela. Ten wstał i rzekł z emfazą:

— Ta druga matka nasza jest ojczyzna, Polska — rzeczpospolita, którą każdy prawy szlachcic *usque ad finem* miłować w dobrej i złej doli, i bronić własną krwią a nawet życiem swojem jest obowiązany, jak to mówi Rej z Nagłowic.. Otóż tego wy nigdy nie zrozumiecie, którzy jecie co niedziela kiszki z kaszą i tłuste podgardle wieprzowe...

Bednarz wstał nagle i szybko kilka razy przeszedł się po izbie. Potem zwracając się nagle do gościa, rzekł:

— A czy dobre były drzewca do lanc, które przed miesiącem do marszałka wyprawiłem?

— Drzewca były doskonałe i zawiędłe jak być powinno. Próbowaliśmy je teraz z Puławskim pode Lwowem na regałach, za dwa tygodnie spróbujemy na Moskalach. Przechodząc znowu tędy, zdam wam relacyą...

— Wy nie wiecie, co ja myślałem sobie strugając te drzewca? — przerwał mu bednarz żałośnym głosem.

— Cóż takiego?

— Ot tak, gdyby to ja, w takiej jak wy macie konfederatce, mógł siedzieć na koniu i kłuć Moskala psiawiarę...

— Zachciewa wam się nie swoich rzeczy, odburknął Popiel.

— Co, nie swoich? krzyknął bednarz i pięść podniósł do góry, ale wnet opamiętał się i z głową zwieszoną siadł na ławie.

Tymczasem zjadłszy spory kawał chleba wstał Popiel i rzekł:

— Komu droga temu czas. Mam ważne rzeczy zawieść do Lublina, a tu gotowi jeszcze schwytać człowieka. U was to każdy mieszczanin za kwartę gorzałki sprzedałby mnie.

Biorąc na siebie kaftan żydowski i przywiązując brodę mówił dalej:

— Za gościnę niech wam Bóg zapłaci — a drzewca macie zapłacone.

I chciał już podać rękę bednarzowi na pożegnanie, gdy tenże nagle skoczył z ławy i kontent jak człowiek, który nagle dobry koncept schwytał, ozwał się do gościa:

— Na to nigdy nie zezwolę, abyście chałupę moją opuścili nie wypiwszy ze mną miodku, który ma lat dziesięć! Proszę was, usiądźcie, a ja zakręcę się koło wieczerzy.

Królewski potomek oblizał się na wspomnienie piastowskiego napoju, zrzucił pejsy i brodę, i zasiadł znowu na dębowej ławie.

— Wprawdzie mam jeszcze kawał drogi przed sobą — mówił drożąc się —

— Wyprowadzę was na ścieżkę, która jest dwa razy krótsza od zwykłej drogi, uspokajał go bednarz, a w oczach jego błyszczało coś szyderskiego.

— Pójdę nocą, rzekł Popiel, a z poczciwym człowiekiem, którego szkoda na mieszczucha, warta jeszcze pogawędzić i z gąsiorka łyknąć.

Bednarz zapalił łuczywo i poszedł do piwnicy po ów dziesięcioletni gąsiorek. Popiel obmacał gąsiorek, powąchał i przyznał, że w całej Popielówce nie ma podobnego gąsiorka. A gospodarz dogadywał szlachcicowi, nalewał kubki, a starej Maruszce nakazał przyrządzić kiełbasę z kwaśnym sosem.

Wkrótce buchały białe kłęby z dużej na stole postawionej misy, a woń czosnku i octu rozchodziła się po izbie. Popiel chwalił kiełbasę i popijał miodku a bednarz opowiadał mu z dziwnym wyrazem w oczach różne przygody swego życia. Mówił mu, jak mając lat dwadzieścia polubił był Paraśkę, córkę chodaczkowego szlachcica, a gdy o jej rękę prosił, to mu odmówiono, bo nie miał żadnych papierów po ojcu. Dalej skarżył się, jak Paraśka mimo że go miłowała, poszła za mąż, i zamiast schudnąć i umrzeć, poczerwieniała i roztyła się, i jest najgrubszą niewiastą w całym Zabłotowie. On zaś posmutniał i długo przemyśliwał nad tem, coby to te papiery, zostawione po ojcu tak wiele znaczyć miały, i dla czego poczciwy człowiek, który jest zdolny wszystko dobre zrobić, byłby nikczemniejszy od drugiego. I tak zeszło mu lat dziesięć w tym smutku po Paraśce, odosobnił się od swoich, bo tam wiele plugastwa między nimi i dzisiaj sam jeden żyje na świecie jak lipa przy drodze.

Popiel uśmiechnął się słysząc gospodarza tak wyrzekającego, oświecał go nawiasem, co to jest szlachectwo, i jak potrzeba być szlachcicem, aby coś dobrego zrobić dla matki powszechnej, ukochanej ojczyzny.

I tak mijała chwila po chwili, koguty zapiały raz i drugi, staruszka zasnęła śród pacierzy. Już dobrze było po północy, gdy Popiel chciał na nogi powstać. Ale miodek jakoś wlazł w kolana i nie dał ich wyprostować. Widząc to gospodarz, uśmiechnął się złośliwie i prosił gościa, aby jeszcze chwilkę zaczekał. Sam zaś wyszedł do alkierza, zza obrazu św. Szymona Judy wziął pęk ziela i pokruszył je na proch w dłoni. A gdy gościowi nową nalewał szklanicę, nieznacznie wsypał proch ten do miodu.

Popiel zaklął się na św. Marcina, że to będzie ostatni kubek, przyłożył do wąsów i duszkiem w gardło wylał. Ale odsapnąwszy uczuł w wnętrznościach jakieś gorąco nadzwyczajne. Przed oczyma poczerniało mu. Machnął ręką, jakby chciał kogoś od siebie odpędzić, wybełkotał kilka słów niezrozumiałych, poczerwieniał aż po czuprynę i na zydel upadł bezwładnie.

Co widząc bednarz uśmiechnął się pod wąsem, a wziąwszy gościa jak dziecko na ręki, położył go w alkierzu na tapczanie i szubą swoją nakrył. Popiel zaczął się pocić, krople wody jak śliwki zaczęły mu się sunąć po czole. Sapał jak miech kowalski, a gardło syczało mu jak rozpalone żelazo. Bednarz stał długi czas nad nim i zacierał ręce jak cerulik, który cieszy się, że napój jego skutkuje, nie myśląc wcale, czy choremu na dobre wyjdzie.

Ale polskiego szlachcica nie tak łatwo śmierć się czepi. Popiel sapał i sapał i część choroby jakoś wysapał, reszta wyparowała przez łysinę. Jeszcze »węgierka« nie zaświtała, gdy się przebudził i zdumionem okiem potoczył do koła. Na stołku koło niego siedział bednarz. Miał łzę w oku i w jakiemś dziwnem zamyśleniu patrzał na mały tłumoczek, który koło niego na podłodze leżał.

— Tam do kata, krzyknął Popiel otwierając szeroko oczy, jakoś zmrzyło mi się, a tu trza w drogę. Pojutrze muszę stanąć na miejscu — mam ważne z sobą papiery od Puławskiego. Tam do kata, a cóż znaczy ten węzełek Szymonie?

— Przygotowałem się do drogi, odparł sucho bednarz.

— Do jakiej drogi? zapytał szlachcic usiłując z tapczanu się podnieść.

— Do drogi, w którą wy iść mieliście, a w którą ani dzisiaj ani jutro nie pójdziecie! odparł obojętnie Radysz.

— Jak to, ja nie pójdę?... krzyknął Popiel aż myszy pod podłogą zadrzały.

I chciał równemi nogami stanąć na ziemi, ale głowy ani o włos nie podniósł od poduszki. Zdawało mu się, że ktoś do jego łysej pałki nalał ołowiu, albo przynajmniej przybił go do tapczana trzema goździami. Wiercił się i kręcił zdumiony szlachcic, ale ani ręka ani noga nie słuchały go i leżały martwe jak drzewo. Krzyknął: »Jezus, Marya, Józef!« krzyknął ku otrzeźwieniu: »Polska królowo, moskale psubraty!« ale ani jedno ani drugie nic nie pomogło. Spocił się nie ze strachu ale z indygnacyi nad samym sobą, przeklął miód bednarski i kufle bezdenne, lecz wszystkie te praktyki nie ruszyły go z miejsca.

— *Mater Dei!* zawołał w rozpaczy, mam ważne papiery, a tu ani rusz! Trzeba może pić rumianek i tyzannę cały dzień!

Bednarz z nieznacznym uśmiechem patrzał na wiercącego się na tapczanie szlachcica, który w tej chwili wydawał mu się podobnym do św. Wawrzyńca na rozpalonej kracie, jak to na obrazie w kościele widział. I zdawało się że nie mniejsze od św. Wawrzyńca cierpi męki poczciwy szlachcic, który obowiązku nań włożonego w tej chwili nie mógł wypełnić.

— Rumianek i tyzanna! jęczał szlachcic krzywiąc się, jakby mu dyabli rozpaloną smołę do gęby leli.

— I to nie jeden dzień ani dwa, ozwał się bednarz.

— Co mówisz!

— Walenty z Zabłotowic pił za wiele tego samego miodu i leżał cały miesiąc!

*

— Chryste na krzyżu!

— Jeżeli ważne macie papiery, mówił dalej bednarz, a macie mnie za poczciwego człowieka, to dajcie, a ja z niemi pójdę w imię Boga. I tak droga niebezpieczna, a ja bednarz przesunę się wszędzie. Stara Marucha będzie przy was, nie braknie wam niczego. W chorobie będzie wam smarzyła pirogi na młodej słonince, które same do gardła lezą.

— Nie, to być nie może, krzyczał Popiel, ja sam muszę oddać to pismo.

— To mi dacie wasz stary papier, co wam ojciec zostawił, a ja umiem przecież gadać i powiem, żem Popiel, szlachcic od Sambora —

Popiel skrzywił się i szyderczo spojrzał na mieszczanina. Po chwili zamyślił się.

— Wszak was tam daleko nikt nie zna, mówił dalej bednarz.

— To prawda, ale...

— Jeźli idzie o sprawę ojczyzny, jak sami mówicie, ciągnął nieśmiało bednarz, to przecież...

— Nie to być nie może...

— Więc niech tam hetmana waszego czy marszałka na łeb pobiją, co mi tam! fuknął się bednarz.

Popiel chciał się ze złości w łysinę uderzyć, ale ręka jego była bezwładna jak kloc drzewa. Gryzł wąsy i wargi i sapał za dwunastu. Długi czas milczeli obaj. Już na dworze zupełnie pobielało. Bednarz wstał z ławy.

— Gdzie idziecie? zapytał Popiel.

— Zbierać się na targ do Jarosławia, odparł bednarz.

— Poczekajcie, trzeba coś zrobić, coś uradzić — przeklęty dereniak!...

— Nie ma innej rady. Dla mnie droga do Lublina, dla was rumianek.

— Możebyście tak jako bednarz poszli i powiedzieli —

— Że Marcin Popiel upił się na dereniaku i sam nie mógł...

— Nie, nie... lepiej powiedźcie żem umarł, żem zwaryował, powiesił się i utopił — jęczał nieszczęśliwy potomek królewski.

Bednarz na to nic nie odpowiedział, tylko zaczął się na targ wybierać. Popiel był w rozpaczy.

— No to czekajcie, trzeba coś zrobić, nie ma ani chwili do stracenia. Dam wam wszystko co chcecie, pismo i papiery moje rodowe. Ale Szymonie, na rany Ukrzyżowanego przysięgnij mi, że w drodze nie splamisz mego klejnotu, przysięgnij, że w karczmie nic nie ukradniesz, że przed każdą figurą zdejmiesz czapkę, że zdybawszy Moskala przed nim nie stchórzysz, tylko śmiało w łeb palniesz, że wzięty na turtury pisma nie zdradzisz, i że zapłaty za twoje niebezpieczeństwo od nikogo nie weźmiesz. Rano i w wieczór mów do siebie: Jestem Marcin Popiel, królewskiego rodu, prowadź go panie Boże jak na niego przystoi. Przysięgasz?

— Przysięgam, zawołał bednarz i wzniósł dwa palce do góry. W jego oczach zamigotała dziwna radość.

— Ale i wy Marcinie Popielu przysięgnijcie mi — rzekł po chwili bednarz.

— Popiel nigdy nie przysięga, przerwał z indygnacyą szlachcic — tylko daje »słowo szlacheckie.«

— A więc o to słowo szlacheckie was proszę.

— Na co?

— Abyście wyzdrowiawszy mieszkali tu w mojej chałupie i moją starą matkę pielęgnowali, jeśli mię jaki przypadek w drodze zatrzyma —

— To przecież nie potrwa długo?

— Dwa, trzy tygodnie najdalej — ale jeźli coś nadzwyczajnego... bo któż może wiedzieć —

— Dobrze, daję wam słowo szlacheckie.

— Że zostaniecie dopóki nie wrócę, albo, czego Boże uchowaj, gdyby tymczasem matka moja stara zamknęła powieki, to ją uczciwie pochowajcie i wtedy oddawszy dóm Maruchnie możecie iść do swoich —

— Dobrze, dobrze, choć to się tak niegada —

— Ale nie prędzej?

— Wszystko dobrze, tylko teraz nogi za pas Szymonie, i drzyj, żeby aż paznogcie skrzypiały! zakonkludował Popiel. — W kaftanie pismo i papiery.

To rzekłszy zamknął oczy, bo go jakaś niemoc owładnęła, a bednarz wyjął papiery, pocałował rękę śpiącej staruszki, pokropił się święconą wodą i zanuciwszy godzinki do królowej Polski wysunął się z domu.

Minął miesiąc, szlachcic wyzdrowiał na rumianku i pirogach. Co dzień wychodził na brzeg parowu, ale bednarza jak nie było tak nie było. Zalatywały go różne wieści o konfederatach, szlachcic gryzł wargi i wąsy, a bednarz jak zginął tak zginął! Do tego wlazł mu na kark Mateusz Piróg, który całe miasteczko na szlachcica podburzył. Przysiężni napadali go i przetrząsali dóm od progu aż do krokwi, a szlachcic odżerał się jak mógł, wydając się za czeladnika bednarskiego, który u Radysza na służbę stanął. O Radyszu były wieści, że z beczkami gdzieś daleko pojechał. Ale to wszystko nie uspakajało Mateusza Piroga, który głośno wygadywał, że Radysz herszt rozbójników, a jego czeladnik przynajmniej jest urwipołciem.

Kilka miesięcy minęło śród tych kłopotów. Szlachcic popatrzył pewnego razu do beczki wody i ujrzał ze strachem, że nawet posiwiał z kłopotów. Ale dało się słowo bednarzowi, matka jego żyła, nie można domu opuścić. Wreszcie potrzeba było i grosza na życie. Szlachcic naładował wóz beczkami i faskami, które był znalazł w komorze i wyjechał na targ do Jarosławia. Na targu zamówiono kilka beczek na kapustę i kilka wiader do studni. Trzeba było wziąść z sobą czeladnika i zrobić zamówione beczki i wiadra.

I tak mijał jeden miesiąc po drugim. Szlachcic przypatrywał się czeladnikowi jak strugał dęgi i giął

obręcze. Z nudoty i sam wziął za siekierę, ciosał dna i obręcze zacinał. A bednarza jak nie było tak nie było, a staruszka zwiędła jak śliwka w październiku, ale żyła. Mocno frasował się szlachcic, ale słowa dotrzymywał.

Wreszcie w pół roku po odejściu bednarza, zaniemogła jeszcze więcej staruszka i położyła się na tapczanie. Szlachcic zmówił »ojczenasz« za myśl grzeszną, która do głowy mu przyszła i rzekł w duchu do siebie:

— Każdy człowiek umierać musi. Staruszka kłapnie lada dzień. Sprawię jej pogrzeb przyzwoity z wszystkiemi cechami i odejdę ztąd.

I codzień patrzał na tapczan szlachcic, codzień przepraszał Boga za myśl grzeszną, ale staruszka żyła jakby o niej śmierć zapomniała.

Znowu minęło kilka miesięcy. Szlachcic strasznie posmutniał. Razu jednego nad wieczorem wyszedł do sadu i usłyszał puhacza przeraźliwie krzyczącego gdzieś w gruszy wypruchniałej. Szlachcic przeżegnał się krzyżem świętym, dreszcz zimny przeszedł mu przez plecy.

— No już teraz babulka kłapnie niezawodnie, pomyślał sobie, sowa nie nadarmo woła.— Wszyscy ludzie umierać muszą.

Przyszedłszy do izby obaczył staruszkę dziwnie niespokojną.

— Sowa darmo nie woła, rzekł do siebie z cicha, przed świtem jeszcze zadrze nogi biedna staruszka! Wszyscy ludzie umierać muszą. —

Zapalił więc gromnicę, jak na prawego katolika przystoi i zaczął po cichu czytać psalmy konających, zerkając od czasu do czasu na tapczan. Ale staruszka uspokoiła się i zasnęła, i tak jakoś zdrowo wyglądała we śnie, że nieszczęśliwy Popiel z westchnieniem książkę zamknął i gromnicę zgasił.

I tak biegły dzień za dniem, miesiąc za miesiącem — rok za rokiem. Szlachcic wypalił kilka gromnic, do wzgórza nad parowem wydeptał ścieżkę, wyglądając Radysza, Mateuszowi Pirogowi, który go zwał zawłoką i urwipołciem, złamał już trzy żebra i jedno wybił oko — a staruszka jak sobie żyła tak żyła, a bednarza jak nie było tak nie było!

I tak minęło lat — dziesięć.

Razu jednego, w wilią św. Szymona Judy, siedział szlachcic na progu i strugał dęgi. W tem jakiś podróżny w błyszczącym mundurze pojawił się przed progiem. Szlachcic przetarł oczy i krzyknął:

— Mater Dei, Radysz!

— Czy żyje matka? zapytał przybyły.

— Żyje, wybełkotał szlachcic.

— Ale nasza wspólna, a moja druga matka umiera!

— Co gadasz!

— Moskale wszystko zabierają!

Nastąpiło długie milczenie. Bednarz i potomek królewski płakali, leżąc jeden drugiemu na piersi.

— I opowiadaj — cóż — ach dziesięć lat — coto za mundur — co, ty bez jednej ręki?... pytał szlachcic. gdy do izby już byli weszli, a syn z matką się przywitał,

— Powoli, powoli mości Marcinie, odparł bednarz, bo mi się w głowie kręci. Z czasem to wam wszystko opowiem. A teraz macie ot wasze papiery. To wszystko wasze — a ja znowu bednarzem.

Popiel rozwinął pęk papierów.

— Co, to nominacya na rotmistrza?... Chryste Boże!... „Marcin Popiel, rotmistrz... czytał zdumiony szlachcic a ręka drżała mu jak liść osiki.

— Tak jest, to wy jesteście Marcinie.

— ...„Waleczny towarzysz broni, czytał dalej Popiel, który za dobro ojczyzny naraził życie i tyle nabił nieprzyjaciela... a przywiózłszy raz ważne ze Lwowa papiery, schwytany był przez moskali i męczony, nic nie wydał, a wywinąwszy się im z rąk, oddał naczelnikowi lubelskiemu co miał, nie przyjmując nawet żadnej za to nagrody, jak na prawdziwego syna ojczyzny przystoi“... Mater Dei! —

— To wszystko wy, Marcin Popiel, nie ja, Radysz, wtrącił z uśmiechem bednarz.

— ...„Później wzięty w niewolę, czytał dalej Popiel, zagnany na Sybir jęczał tam w okowach jako Paweł św., nie przestając prosić Boga o zbawienie Polski... i jakoż wrócił znowu ztamtąd do obowiązku prawego syna ojczyzny, ale straciwszy rękę powraca do swoich wraz z błogosławieństwem, które mu szle rzeczpospolita nasza...“

— Więc idźcie Marcinie do domu, i weźcie z sobą te wszystkie zaszczyty. Nikt was tam nie pozna, śmiało możecie opowiadać o krajach i o Syberyi. Mnie to wszystko na nic się nie przyda.

— *Mater Dei*, krzyknął szlachcic, toż ja mam żyć chlebem, co sobie drugi upiekł! Nie, pójdę do Warszawy, opowiem to wszystko królowi — on wam nada szlachectwo, boście na to zasłużyli. I jam na coś zasłużył, bom dotrzymał słowa.... dyabelnie, dziesięć lat i sześć tygodni!...

Na tem skończyła się dzisiaj ich rozmowa, bo staruszka chciała z synem się nacieszyć, obmacując jego mundur i śniącą szablę.

Nazajutrz całe miasteczko było w nadzwyczajnym ruchu. Mieszczanie gadali to i owo, a Mateusz Piróg wytoczył Radyszowi jakiś proces. Rozniosło się, że Radysz był konfederatem, i odtąd nie nazywano go nigdy inaczej jak „konfederat“. Niektórzy nawet w tem widzieli coś szyderskiego — nie ich to wina, ale wina długich wieków...

Popiel odwiedził swoich, a gdy mu wszyscy tak znakomitej rangi winszowali, nie mógł znieść tego fałszu na sercu i wszystko co do joty opowiedział. A nawet, jak przyrzekł, poszedł piechotą do Warszawy, aby przed króla całą tę sprawę zanieść i bednarza unobilitować. Ale jakoś nie gładko poszły mu jego zamiary. Czekał od roku do roku na rezultat podróży swojej. Tymczasem odwidzał Radysza, a Mateusz Piróg widział z cmentarza, jak razem z nim strugał dęgi i nakładał obręcze.

W kilkanaście lat umarła wreszcie matka bednarza mając lat sto czternaście. Popiel i Radysz płakali idąc za trumną — a nazajutrz płakali obaj nad śmiercią drugiej wspólnej matki. Od kwestarza z Jarosławia dowiedzieli się o złożeniu przez króla korony polskiej.

— Ej Szymonie, zawołał śród łez Popiel, naszej ojczyzny niktby tak gładko nie był zagarnął, gdyby tacy ludzie jak ty, rozumieli sprawę naszą i byli w naszych szeregach!

Po tem widzeniu się postarzeli się znacznie obaj przyjaciele. Bednarz wkrótce umarł, a Piróg pił na jego stypie. Chałupa Radysza zapadła się, a pustkowie nazwali mieszczanie „konfederatówką".

Popiel żył jeszcze pięć lat. Na cztery lat przed śmiercią ożenił się i zostawił syna, któremu zamiast majątku zapisał w testamencie te słowa:

— „Pamiętaj, żeś Marcin Popiel rodu królewskiego. Życie twoje i mienie należy do rzeczypospolitej. Gdy będzie czas ktemu, to siędziesz na koń i w imię Boga. Hasło Popielowe jest: Jezus, Marya, Józef— Wal wroga!" A gdy brat-nieszlachcic chce koło ciebie stanąć, to mu się posuń i uściśnij jak brata. Tylko wszyscy razem, co jednym mówimy językiem, jesteśmy coś warci i czegoś możemy dokazać. A gdy się podzielimy, to nas zgniotą jak dziurawe orzechy. To mniej na pamięci: Amen,

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.‹

Wnuk Popiela czytuje dzisiaj często te słowa swego dziadka. Jest on w ósmej klasie i siedzi z młodym Pirogiem na jednej ławie szkolnej.

J. Z.

Jeńcy z pod Warny.

Zwycięzki Amurat rozkazał by z jeńców,
Dwunastu Lechickich oddzielić młodzieńców:
Chciał zmusić ich gwałtem by wiarę zmienili,
I państwu Osmanów na wieki służyli.
Więc jeńcy po cichu zmawiają się z sobą:
Drżyj dumny sułtanie, miecz wisi nad tobą!
Niewolnik Bulgarczyk dać pomoc przyrzeka —
I kto wie czy sułtan świtania doczeka....
Lecz biedni na pomoc liczyli daremnie,
Bulgarczyk ich zawiódł, i zdradził nikczemnie.
Nie udał się zamiar a garstka skazana
Na straszne męczarnie ma czekać do rana.

Noc ciemna nadeszła, spi wszystko do koła,
A z jeńców najstarszy powstaje, i woła:
Rodacy! wy może ulękłszy się kary,
Zrzeczecie się rodu, imienia i wiary,
Amurat przebaczy, i całe tu życie
W zaszczytach, dostatkach, wesoło spędzicie —
Ja czekać nie będę na męki do rana,
Przenoszę śmierć męzką, nad łaskę sułtana,
A wiernym zostanę mym ojcom i wierze...
Uklęka, ostatnie odmawia pacierze,
I żegna się z bracią, nóż wpycha do łona,
Krew tryska strumieniem, on pada, i kona.
Do brata zmarłego co żywo w tej chwili
Rozpaczą miotani współbracia skoczyli,
I jeden drugiemu nóż z piersi wyrywa,
I swoje nim łono odważnie przeszywa..-.

Dziesięciu umarłych na ziemi już leży,
Dwaj wkrótce ostatnich dokończą pacierzy;
Wstał jeden, i rzecze: sierotą tu byłem
I dosyć się w życiu łez gorżkich napiłem!
Nóż chwyta.... już kończy doczesne cierpienia...
A drugi ostatni z mężnego plemienia
Wydobył z zanadrza mirtową gałązkę
Uschnięty kwiat róży, i włosów zawiązkę;
Na węgiel mu usta spaliła gorączka,
A złota na palcu świeciła obrączka.
I dumał... lecz Boże! czas skończyć... już dnieje...
Żegnajcie, żegnajcie najmilsze nadzieje,...
I bratu zmarłemu wyrywa nóż z łona,
Przebija pierś śmiało, upada i kona.

Nad skarby, zaszczyty i łaskę sułtana,
Smierć męzką przeniosła ta gąrstka wybrana
By wierną pozostać ojczyźnie i wierze,
Czy każdy śmierć taką dziś za wzór obierze?.....

N.

Epizod z wojen kozackich.

(*Dokończenie.*)

Nazajutrz, nim jeszcze słońce wychyliło się z za boru, słuchał już król mszy świętej w swoim namiocie przed cudownym obrazem owej N. Panny Maryi Chełmskiej, a zaraz potem sprawiał wraz z hetmanem w. k. wojsko w szyk bojowy. Rozstawiły się pułki polskie od boru po lewej, aż do Dąbrowy po prawej, na pół mili ruskiej wzdłuż. Na prawem skrzydle stanął Mikołaj Potocki, hetman w. k., lewem dowodził Marcin Kalinowski, hetman p. k., dowództwo centrum objął sam król, a szlachta z województw rozstawiła się po bokach. Zaledwie wojsko uścignęło się zuszykować w porządku, co zabrało wiele czasu, aż dobrze z południa poczęły się już pokazywać buńczuki tatarskie po wzgórzach naprzeciwległych i wkrótce tłumy pogańskiej tłuszczy Tatarów i czerń kozacka i z dziką wrzawą rozwinęły swoje szyki naprzeciw polskiemu wojsku.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, nim stanęły w porządku obie strony. Choć już była spóźniona pora, wysyłali przecież Tatarzy podjazdy i niepokoili wojsko polskie po skrzydłach, sprawiając zamieszanie między szlachtą z województw. Zabiegł im pare razy drogę p. Jaskólski, strażnik wojskowy i dzielnie się z nimi potykał. Stanęły także odważnie województwa sandomirskie i wołyńskie, czyniąc wstręt nieprzyjacielowi, ale

pomimo te przeszkody podsuwali się Tatarzy coraz bliżej i w coraz większych napadali oddziałach. Wstyd było Polakom dać się tak najeżdżać i drażnić bezkarnie, podbiegł więc p. Chorąży, człowiek młody i gorący, do pana Krakowskiego mówiąc: „Dla Boga dobrodzieju! co czynimy, że nieprzyjaciel tak się zbliża i paszę nam odejmuje?“ Na co mu odrzekł p. hetman: „Gdyby się staropolska cnota wróciła, możeby który z Ichmściów spędził tego komunika tatarskiego z pola.“ Nie trzeba było dwa razy jedno powtarzać, bo p. chorąży zaraz podchwycił z tęgą miną: „Ja proszę niech idę z pułkiem moim i z przydaniem drugiego: „Pan hetman rad takiej ochocie przydał mu do towarzystwa p. merszałka kor. i zaraz obaj wojownicy, „nieodrodni synowie wielkich niegdyś rycerzy ojczyzny“, jak „dwie bliźnie gwiazdy“, ruszyli z kopyta na wroga, zachęcając swe roty słowem i przykładem, bo obaj z dobytym kordem pędzili na czele. Gdy zapadli trochę w jednej dolinie, wysypało się na nich nagle ze wszech stron Tatarstwo „z wielką furyą i okrzykiem“. Pan chorąży, odbiegłszy dobry kawał naprzód od swych szyków, pierwszy spotkał się z dziką tłuszczą i zginął z oczu w tłumie Tatarów. Tuż za nim wślad przypadł i pan marszałek i chwilę walczyli sami siekąc na wszystkie strony, nim zdążyły chorągwie przyjść im w pomoc. Trzy razy uderzał Koniecpolski ze swą konnicą i trzy razy cofać się musiał, odparty przeważnemi siłami; chwiały się także i roty Lubomirskiego nie mogąc wytrzymać nawały i poczęły się łomać i ustępywać. Widząc potrzebę Polaków wojewoda ruski i nie chcąc być bezczynnym spektatorem, nie czekając ordynansu, wyskoczył w sześć chorągwi z lewego skrzydła, za jegó przykładem pomknął się z prawego wojewoda bracławski i spadli z dwu stron nagle na wroga.

Zapadał już zmrok i tylko tumany kurzu, wrzawa i strzelanie okazywały, w której stronie toczy się walka, bo już ludzi nie można było rozpoznać, gdy Tatarzy ustępować poczęli. Z początku cofali się zwolna, odstrzeliwając się ciągle, ale po chwili dobrze przyparci, i wzięci w krzyżowy ogień, w zamieszaniu tył podali i poszli w ucieczkę. Rozognione zwycięztwem wojsko, rwało za nimi w pogoń aż pod las i dopiero o ciemnej nocy wróciło do obozu, prowadząc za sobą wielu więźniów, między któremi było kilku „dobrych i zacnych“. „Tak za łaską bożą, a męztwem i rękami wyżej wspomnionych Ichmościów“ skończył się szczęśliwie dzień pierwszy dla Polaków. bo choć kilku z towarzystwa stracili, ale za to kilkuset pogan położono trupem i nawet stratę koni powetowano sobie sowicie, pochwytawszy kilkanaście dzielnych bachmatów. Taki pomyślny początek brał król i całe wojsko za wróżbę zupełnego wkrótce zwycięztwa: ale nie łatwo i nie małym kosztem przyszło je osiągnąć. Już zaraz nazajutrz trudniejsza sprawa oczekiwała polskich wojowników, dowiedziano się bowiem od jeńców tarskich, że dopiero jutro o świcie miał nadciągnąć Chan z całym koszem i wojskiem, do 200000 ludzi liczącem.

Chciał król ściągnąć wszystkie pułki do obozu, ale odradzali mu od tego pp. hetmani, raz dlatego, że ruszanie wojska ze stanowisk w obec wroga połączone było z niebezpieczeństwem niespodziewanego napadu, a powtóre, że nazajutrz upłynęłaby znowu większa część dnia na szykowaniu. Uznał król słuszność tej rady i rozkazał, żeby wojsko nie schodziło z placu, ale owszem w szyku bojowym aż do świtu trwało, sam też dodając ducha żołnierzom objeżdżał do późna w noc szeregi, obmyślał z wodzami plan dalszej potyczki i na miejscach sposobnych, dla zasłony skrzydeł szańce sypać i na nie po kilka działek mniejszego kalibru pozataczać kazał. Przez całą noc trwał ruch w obozie polskim, przygotowywano się żwawo do jutrzejszej potrzeby, a pan Otwinowski, tłumacz przy boku królewskim, obeznany równie dobrze z mową jak z zwyczajami Hordy, starał się coś więcej wybadać z pojmanych Tatarów. Zagrożeni torturami opowiadali, że han wlókł się powoli z główną siłą za kozactwem, bo chętnieby odnowił przymierze pokoju z królem polskim, obawiając się tak znacznych zastępów, ale Chmielnicki wszelkiemi sposoby odradza mu od tego i obiecanką świetnej zdobyczy do stanowczych kroków nakłania. Skoro podchwycił to zeznanie Ossoliński, pokładający wielką ufność w dyplomacyi, chciał zaraz na wzór swego dziada w. kancierza pod Zborowem, wchodzić w układy z Tatarstwem i kończyć całą wyprawę traktatem. Oburzył jednak tą propozycyą wszystkich wodzów, którym nikczemnemi się wydawały rokowania z wrogiem nie rozprawiwszy się z nim pierwej na polu walki jak na rycerzy przystało.

Tymczasem poczęło świtać, wrzawa i zgiełk niezwykły w tłumach nieprzyjaciela zdradzał przybycie oczekiwanego hana. Na wzgórzu, najbliżej ku lasowi posunionem i porosłem z rzadka drzewami, obrał sobie stanowisko sam han, mając z tej wyniosłości otwarty widok na pole walki. Zasłaniały go od wszelkiego niebezpieczeństwa szyki tatarskie i piesze roty kozackie, uzbrojone w strzelby, wyciągając się w kształcie półksiężyca, aż ku lewej stronie nad trzęsawiska, gdzie stała główna siła Kozaków, kupiąc się koło taboru, z wozów i podwód razem powiązanych i stanowiących mocną zaporę na pochyłości wzgórza. Naprzeciw temu taborowi usypali nocą Polacy mały okop, oddzielony od skrzydła nieprzyjaciół zgniłą wodą bagniska, zkąd dwa działka groźnie patrzyły na kozackie roty.

Nie długo czekało polskie wojsko w spokoju; wkrótce kilka oddziałów Tatarów i kozaków podbiegło i napadło na stanowisko hetmana Kalinowskiego sprawując jak wczoraj zamieszanie pomiędzy województwami. Wyprowadził więc pan Krakowski z prawego skrzydła konnicę, pędząc ku lewej stronie, gdzie się Lanckoroński i Szczawiński potykali z tatarskimi podjazdami. Ale wraz i nieprzyjaciel, widząc niechybną zgubę swoich, gdyby hetman napadł na nich z boku, wysunął się z komunikiem wielką potęgą i zaskoczył mu w połowie drogi. Wszczął się bój zapamiętały i

w zamieszaniu trudno było rozróżnić Polaków od Tatarów, tylko się wiały w powietrzu chorągwie polskie, na których połyskiwały złote krzyże, na znak, że to wojna za wiarę, i buńczuki tatarskie z półksieżycami. Przybyły w pomoc p. Hetmanowi pod dowództwem Michała Czartoryskiego roty Wejhera, Bogusława Radziwiłła i Jana Sapiehy, wojewody wołyńskiego; wyruszyły też do walki i pospolite ruszenia ziemi przemyskiej i chełmskiej. Ale niezwłocznie i Tatarom pospieszyli w pomoc Kozacy, którzy zbici w klin, w pułk pana Krakowskiego się wparli i zaraz na wstępie w zamieszaniu chorągiew polską zdobyli, wydarłsza ją z rąk nieostrożnego chorążego. Ważyło się zwycięztwo to na tę to na ową stronę, a tymczasem han dostrzegł przez lunetę (tubo optico), że prawe skrzydło słabo jest okryte i zaraz znaczny oddział ku tej wyprawił stronie. Wystąpił na spotkanie tych nowych harcowników z pułkiem swoim Stanisław Lanckoroński i zaraz w pierwszym starciu utracił syna Zygmunta. Poczęli już Tatarzy i Kozacy brać górę nad Polakami, gdy wysunęli się ze swemi rotami Jeremiasz Wiśniowiecki, Lubomirski i Stanisław Potocki i poparli swoich. Nie mogąc jednak sprostać nieprzyjacielowi, któremu coraz to świeże oddziały przychodziły w pomoc, kazał już hetman otrąbić sygnał do odwrotu, ale w samą porę przypadł Kalinowski, który, uporawszy się na lewem skrzydle z podjazdem tatarskim, natarł z boku na nieprzyjaciela i wieleą klęskę w szykach jego sprawił. Zawrzała odnowionemi siłami walka. Bronił się zażarcie nieprzyjaciel, jak gdyby chcąc zmyć hańbę wczorajszej klęski, ale gdy i działka z owego okopu naprzeciw taborowi Kozaków grać poczęły z dobrym skutkiem, nie mógł dłużej dotrzymać kroku i do kosza cofać się począł, tracąc niemało ludzi, tak od ognia działowego, jak i od ręcznej strzelby, z której mu dzielnie dosadzała w odwrocie piechota polska.

Tak i ten dzień, a była to uroczystość ś. Piotra i Pawła, szczęśliwie się zakończył i Polacy zostali panami pobojowiska, ale zwycięztwo to opłacili drogo straciwszy wielu znakomitych mężów. Nie wyszli i Tatarzy bez znacznej szkody: poległo kilku z ich murzów, których oni zaraz nie dając im prawie dopaść do ziemi z pola zdejmowali i do kosza odnosili. Między poległymi był także brat rodzony hana, sułtan Muradyn, sułtan Kazak murza, Mustafa murza, Aulah murza i ów Tobay Bej, który się odgrażał, że zawita do Warszawy lub Krakowa, upomnieć się o haracz należący się Tatarom od Polaków. Kilku krewnych hańskich i panów tatarskich dostało się do niewoli, wiele też buńczuków zdobyli Polacy, które pan hetman u nóg króla złożył, król zaś ołtarz Najświętszej Panny temi trofeami przyozdobił.

Nie chcąc mitrężyć wojska, znużonego jednonocnem czuwaniem i wysilonego dwudniową krwawą pracą, rozkazał król o zmroku wszystkim do obozu się ściągnąć. W szańcach tylko, usypanych przeszłej nocy, zostawiono po kilka chorągwi na czatach, przydając każdej jedną rotę piechoty i dwa działka, żeby mogły postawić czoło nieprzyjacielowi w razie niespodziewanego napadu. Kozacy także porozstawiali straże i tak z obu stron czuwano wzajemnie, obawiając się nocnej zdrady.

Tymczasem w namiocie królewskim odprawiały się suplikacye przed cudownym obrazem Matki Boskiej, a po obozie, przy roznieconych ogniskach toczył się żwawy rozhowor: opatrywano rannych, bo mało kto wyszedł cało z dzisiejszej potrzeby, liczono i znoszono poległych, a było ich wielu i znacznych: poległ bowiem p. Kazanowski, kasztelan halicki, znaleziono także między trupami Ossolińskiego, starostę lubelskiego; leżał na polu bitwy, pomiędzy kilkunastu Tatarami, widać drogo sprzedał swoje życie. Zginął także Stadnicki, podkomorzy sanocki, Ligienza, miecznik krakowski, Jordan, stolnik krakowski, i wielu innych. Starosta Krasnystawski 7 towarzystwa utracił, inni po 10, po 12 i więcej doliczyć się nie mogli w swoich rotach. Pomimo tych strat nie stracił żołnierz polski serca i owszem gdy oznajmił hetman w. k. z rozkazu króla, że jutro ma być stoczona stanowcza, ostatnia potyczka, wyglądali wszyscy z niecierpliwością dnia, by się módz znowu z wrogiem zmierzyć.

Dla braku paszy wybiegali tymczasem ciury obozowe zbierać susz, trzcinę i liście dębowe na karm dla koni, ale i tę zdobycz musieli krwią oblewać, bo Kozacy zbierających napadali i kaleczyli; więc wielu z próżnemi rękami, a z guzami i krzykiem do obozu zmykało. Powoli przycichała wrzawa i przygasały ogniska, tylko straże, rozstawione po skopach, czuwały ciągle i przerywały spokojność nocy, obwołując swe hasła, gdy wtem odgłos działowego wystrzału postawił znowu wszystkich na nogi. Trudno się było dopytać prędko co zaszło nowego, powstał rajwach, hałas, otrąbiono alarm i w lot kilka chorągwi dosiadło koni, pędząc za obóz w stronę, w której słyszano wystrzał. Pokazało się, że Kozacy próbowali szczęścia, ale się im nie powiodło.

Był, jak powiedzieliśmy, okop jeden polski, wysunięty najbliżej ku nieprzyjacielowi, usypany wśród trzęsawisk i oblany dokoła zgniłą wodą bagniska. Stało w tym szańcu kilka rot zaciężnych Niemców księcia Radziwiłła, jako straż przy owych dwóch działkach, które wczorajsze rozstrzygnęło zwycięztwo. Ale Niemczyska, znużone czuwaniem przeszłej nocy i pracą całodzienną, posnęli w najlepsze, jak bobaki w jamie, i nawet straże przestały się obwoływać. Zauważali zaraz Kozacy, że głucha cisza panuje w okopie, więc cichaczem podchodzą jak daleko trzęsawiskiem iść można, aż nad samo bagno. Słuchają — cicho nikt się nie rusza. A ponętna to była rzecz uwolnić się od działek tuż pod bokiem i podsunąć tak blisko pod obóz nieprzyjacielski. Więc niewiele myśląc kilkunastu zuchów zrzucili wskok kurty i szarawary i wpław przebyli bagnisko, niosąc w jednej ręce bronie, a drugą roztrącając wodę. Powiodła się junacka przeprawa; napadli śpiących niespodzianie i srogą między niemi rozpoczęli rzeź, tem łatwiej, że ciemno było choć oko

wykól. Kilku tylko rozbudzonych zaczęło się po omacku szamotać z napastnikami, a jeden zręcznie jakoś podsunął się pod działo i nim się spostrzegli Kozacy, dał ognia na alarm. Ten wystrzał uratował okop i ocalił życie kilkudziesięciom niedobitych Niemców, bo Kozacy słysząc, że chorągwie polskie z krzykiem przeprawiają się ku okopowi, co tchu jak przyszli tak wrócili, zostawiwszy kilku zabitych.

Nim wszystko znowu wróciło do porządku, pobielało już niebo od wschodu i poczynało szarzeć, więc nie wracały chorągwie do obozu, owszem i reszta wojska, spiewając pieśni nabożne przy odgłosie trąb i bębnów, wyruszała w pole, żeby zająć wczorajsze stanowiska. Król tymczasem słuchał mszy św., jak zwykle zrana, i przyjmował Przenajświętszy Sakrament, chcąc się posilić do nowych trudów i wzmocnić ducha wiarą i nadzieją. Po nabożeństwie i komunii wychylił puharek winnej polewki, przywdział kaftan bawoli, na który włożył lekką gończą zbroję i tak ustrojony po rycersku, z owym mieczem święconym przy boku i w kapeluszu poświęcanym na głowie, wyjechał na koniu siwo-jabłkowitym, w towarzystwie księdza biskupa i pp. hetmanów do wojska.

Był dzień posępny, mgły tak gęste leżały nad ziemią, że o kilkanaście kroków nie było nic widać. Takie powietrze zdawało się pomyślniejszem dla Kozaków i Tatarów, niżeli dla Polaków, »ale Pan Bóg nie chciał już dłużej odwlóczyć wiktoryej, bo dzielności i męztwu polskich rycerzy powierzona była w tym dniu fortuna religii katolickiej, króla, Królestwa polskiego i owszem całego chrześciaństwa.« Więc i król, ufając w pomoc Bożą i nie zrażając się tą przeszkodą, we mgle sprawiał wojsko w szyk bojowy.

Prawe skrzydło, gdzie stał Mikołaj Potocki, het. w. k., który też całe wojsko wraz z królem objeżdżał, wydając wszędzie rozkazy i rozdzielając roty, tworzyli wojewoda bracławski Stanisław Lanckoroński, wojewoda poznański Krzysztof Opaliński, w. marszałek kor. Jerzy Lubomirski, podkanclerzy lit. Lew Kazimierz Sapieha, w. chorąży kor. Alexander Koniecpolski, Władysław hr. na Lesznie Leszczyński, któremu król dowództwo lekkiej jazdy powierzyl, dwaj Sobiescy i inni, którzy własnemi chorągwiami królewskie szyki pomnażali. Na lewem skrzydle pod dowództwem Marcina Kalinowskiego hetmana p. k. stanęli: Dominik Zasławski, książe na Zasławiu i Ostrogu wojewoda krakowski, Jan Szczawiński wojewoda brzeski, Jeremiasz Wiśniowiecki wojewoda ruski, z dwoma pokrewnymi swymi, wojewodą podolskim Stanisławem Potockim i Janem Zamojskim starostą kałuskim, dalej Henryk Dönhoff i kilku innych. Dla wzmocnienia skrzydeł zamykały szeregi po obu stronach po kilka dział i chorągwie lekkiej jazdy, ciężka konnica zaś w środku ustawiona była. Centrum, czyli korpus wojska, sprawował sam król. Front zwrócony ku południowi zasłaniały armaty pod komendą Zygmunta Przyjemskiego, jenerała artyleryi. Za środkową bateryą stała w czworoboku piechota, jako asekuracya dział; o kilkanaście kroków za tym czworobokiem uszykował pan Ubald swój pułk także pieszy, zasłaniając swojemi szeregi straż przyboczną osoby królewskiej, do 1800 ludzi liczącą i w trzy kolumny podzieloną, którą dowodził Fromhold Wolf. Ostatnią linię tworzyły roty księcia Radziwiłła, po bokach zaś, po prawej stronie okrywał szeregi Jan Dönhoff ze swoją rajtaryą, po lewej konnica Jakuba Wejhera, pod dowództwem niejakiego Szafgota ze Szląska. W odwodzie, bliżej ku obozowi i rzece, gdzie były dwa mosty, ustawiony był silny oddział konnicy. ażeby w razie potrzeby pospieszył w pomoc, a zarazem czuwał, by nieprzyjaciel zręcznym zwrotem nie zabiegł wojska z tyłu. Między tym odwodowym oddziałem, a szeregami księcia Radziwiłła, obrał sobie król stanowisko, na czele dwu chorągwi nadwornych z 400 Polaków, samych młodzieńców znakomitego rodu i majątku złożonych. Dowodził temi chorągwiami Kazimierz Tyszkiewicz podczaszy w. kor. lit., pierwszą prowadził Zygmunt Ubysz, drugą Jan Wissel, proporce zaś nieśli Jakób Michałowski i Alexander Jendrzejowski, stojąc tuż przy królu. Po obu stronach tego pocztu królewskiego uszykowały się, raytarya niemiecka, którą elektor brandeburski pod dowództwem Walroda królowi przysłał, konne roty Zygmunta Dönhoffa starosty Sokalskiego, Andrzeja Grudzińskiego, Hiacynta Rozrażewskiego i piechota księcia Karola, brata królewskiego. Po kończynach całej tej ogromnej linii rozłożyła się szlachta, odbijając różnemi kolorami województw, najgęściej na lewem skrzydle pod lasem i w lesie, żeby zabiegać zasadzkom nieprzyjacielskim. W obozie zostały tylko dwie roty piechoty i luźna czeladź, a nadto jeszcze kazał król nazatykać po okopie mnóstwo kopii z proporczykami różnokolorowemi, i tak zdawało się z daleka, że tam wojsko stoi, gdy to tymczasem tylko proporczyki na kopiach igrały z wiatrem.

Podczas gdy wodzowie zajęci byli uszykowaniem wojska w tym porządku, objeżdżał konno, z krzyżem w ręku, ksiądz biskup Leszczyński szeregi, dodając żołnierzom odwagi, krzepiąc ich słowem bożem, wystawiając świętość sprawy, za którą mają przelewać krew swoją, i błogosławiąc całemu wojsku. Za przykładem biskupa uwijało się i wielu innych duchownych pomiędzy szyki, a każdy żarliwą mową do boju za wiarę i ojczyznę pobudzał.

Tymczasem podnosiły się mgły do góry i odsłaniały przed okiem nieprzyjaciela, „nieinaczej jeno jak kiedy welum na komedyę podnoszą", nadspodziewanie jego ogromne wojsko polskie, „połyskujące blachami na piersiach skrzydlatych husarzy a pancerzami z kółek na piersiach pancernych i hełmami wszystkich towarzyszów z wysokiemi kopiami o długich proporcach." Odsłaniał się także i Polakom widok bez końca prawie na nieprzeliczone tłumy nieprzyjaciela, okrywające na milę wzdłuż przeciwległe wzgórza, tak że Tatarzy bliżej lasowi i lewemu skrzydłu stali, Kozacy zaś podsuwali się ku rzece naprzeciw prawemu skrzydłu polskich szyków.

Wysunął się zaraz sam han ze znaczną potęgą, ale w połowie drogi się wstrzymał i tylko jeden oddział uderzył niespodzianie na lewe skrzydło i wiele szlachty sieradzkiej, łęczyckiej, chełmskiej i sanockiej stojącej pod lasem z koni zwalił. Ale skoro pan Przyjemski z dział go powitał, rzucił się do odwrotu, wypuściwszy chmurę strzał na pułk pana wojewody ruskiego. Cofnął się i sam han i dopiero daleko za polem bitwy ustawił się w kilku oddziałach, wysyłając ciągle podjazdy i drażniąc wojsko polskie strzałami. Równocześnie podbiegali i Kozacy w małych kupach, rażąc prawe skrzydło z ręcznej strzelby i wyzywając na harce. Król jednak pod gardłem harcować zabronił, bo się dowiedział przez szpiegów, że han taką igraszkę dzień zmitrężyć postanowił, zamierzając dopiero nocą napaść zdradzieckim sposobem na obóz ze słabszej strony i znieść go zupełnie. Grały więc tylko działa i ręczna strzelba po skrzydłach za każdem zbliżeniem się nieprzyjaciela, i kładąc po kilkadziesiąt trupa na ziemi, zmuszały go do odwrotu.

Tak zeszedł cały ranek, aż dopiero około trzeciej po południu podjechały armaty, a za niemi posuwał się środek wojska i lewe skrzydło zachodziło zwolna ku owej pochyłej górze, na której się kupiło wojsko tatarskie, prażąc je nieustannie działowym ogniem i chąc tak zmusić Tatarów, żeby albo napadli Polaków, albo ustąpili z pola. Daremne jednak były usiłowania; Tatarzy nie chcieli wyruszyć z główną siłą, a Polacy także nie radzi byli sami napadać, żeby nie odsłaniać obozu i nie opuszczać korzystnej pozycyi.

Nie mogąc się więc doczekać stanowczego potkania, radzili już niektórzy królowi odłożyć bitwę do jutra, raz, że już była spóźniona pora, a powtóre, że wiatr dał silny naszym w oczy, pędząc ciemne chmury grożące ulewą i burzą. Sprzeciwił się jednak temu książe Jeremiasz Wiśniowiecki wraz z rycerstwem lewego skrzydła i wysłał do króla pana Henryka Dönhoffa, prosząc o ordynans do potrzeby. Miła była królowi taka ochota księcia i rycerstwa, bo bardzo się obawiał tej burzliwej nocy i radby był dzisiaj zakończył całą sprawę, wydał więc ordynans, by się potykali, błogosławiąc im w imię Boga. Jak tylko Dönhoff z pozwoleniem od króla na lewe skrzydło przybiegł, uderzono zaraz w bębny i trąby na znak do boju i ogromnym głosem zagrzmiała z tysiącznych piersi pieśń „B o g a R o d z i c o“. Pomknął się naprzód pułk pana wojewody ruskiego; sam książe poskoczył na czele, przemówiwszy do swoich krótko, ale ogniście, obnażył wyżej łokcia prawicę, dobył szabli z pochwy i znacząc nią krzyż przed sobą w powietrzu, powiódł 12 chorągwi doświadczonego żołnierza i szlachtę kilku województw na najgęściejszy tłum Kozaków. Za panem wojewodą pędził Stanisław Potocki, prowadząc do boju swój pułk i kilka chorągwi Dominika Zasławskiego. Przez dwie godziny prawie trwała walka na lewej stronie — tumany kurzu wzbijały się z ziemi i zakrywały walczących, tylko huk, wrzawa, strzelanie z ręcznej strzelby, dolatywały do stojących w oczekiwaniu szyków, gdzie wielu już powątpiewało czy kto z tej zamieszaniny żywo powróci.

Gdy się tak książe Wiśniowiecki z kozactwem ściera, uderzają tymczasem Tatarzy z drugiej strony na pułk kwarciany Lanckorońskiego. Słynął p. wojewoda bracławski z męztwa, więc nie bacząc na liczbę nieprzyjaciela, rzucił się na spotkanie jego, ale obskoczony dokoła już słabnął i chwiał się, gdy mu Jerzy Lubomirski z pomocą pospieszył. Naparci podwojonemi siłami Tatarzy poczęli powoli ustępywać, a gdy i działa zagrzmiały rzucili się ku rzece. Obmyślany był dobrze ten zwrot według najlepszych prawideł taktyki wojennej, bo w tejże chwili uderzył z boku nowy oddział Tatarów na Lanckorońskiego, a tamci tymczasem zręcznie obiegając prawe skrzydło po nad samą rzeką, nagle na obóz napadli. Ale stanęły im w drodze owe odwodowe chorągwie konne i odparły najazd, poniosłszy jednak wielką stratę w ludziach.

Tymczasem chorągwie księcia Wiśniowieckiego i Stanisława Potockiego poczęły się cofać aż ku szańcom. Widząc więc król niebezpieczeństwo, wyprawił w. chorążego Alexandra Koniecpolskiego z silnym oddziałem, żeby poparł słabnących. Zawrzał znowu bój, ale długo jeszcze ważyło się zwycięztwo na obie strony, aż dopiero ku wieczorowi poczęli Kozacy ustępywać ku taborowi, a Tatarzy umknęli na szczyt wzgórza. Prąc ich ciągle Polacy pomknęli się daleko od miejsca boju i nareszcie nad kłębami dymu i kurzawy na jednym wzgórzu tuż pod taborem kozaczym, zajaśniała chorągiew księcia wojewody i błysnął złoty krzyżyk na tle nieba, które rumienił krwawy zachód słońca. Co nie zdołało zawrzeć się w taborze, wpędziło wojsko na bagna nadrzeczne i tu dopiero sroga wszczęła się rzeź; po krzakach, błotach, chrustach, mnóstwo Kozactwa ginęło i „żadnego z Polaków nie było, komuby się nie dostało kozaka bić“. Próbowały niedobitki ratować się za rzekę, ale że przeprawy były bardzo wązkie, więc koń za koniem iść musiał, „tak nim pierwszy przeszedł, drugiemu już Polak siedział na karku“. Jeden zręczny mołojec dopadłszy czółna przeszło godzinę ze strzelby się bronił i kilku swoim celnym wystrzałem życie salwował i przeprawę ułatwił, aż też przecież przebrodził doń wodą jakiś mazur i kosą brzuch mu rozpłatał.

Gdy taka siekanina trwa nad rzeką dostrzegł król tymczasem znak zwycięztwa księcia Wiśniowieckiego pod taborem kozaczym i ruszył zaraz naprzód z całym centrum i prawem skrzydłem wojska na kosz Tatarów, bijąc ciągle z dział w ich ściśnione szeregi. Rzuciło się zajadle Tatarstwo na działa, ale im dzielny wstręt dał pułk pana Ubalda i księcia Radziwiłła. Poczęły z obu stron grać armaty, a polskie, dzięki zręczności pana jenerała Przyjemskiego, mieszały z wielką szkodą nieprzyjaciela, tak, że się już szyki łomały i szły w bezładną rozsypkę. Wstępywało już wojsko bez żadnego oporu prawie na pagórek, za którym się krył kosz tatarski, gdy w tem Tatarzy, wyśledziwszy kędy król przebywa, z dwóch działek dali ognia, prosto jak

do celu, właśnie w ten sam kornet kurfirsztoskiej rajtaryi, przy którym stał król i hetman w. k. Pierwszy strzał poszedł górą i zaraz znowu po nad głowy Polaków prześwisnęły kule; ponowiono jeszcze trzeci i czwarty raz wystrzał, ale żaden nie zrządził szkody na ludziach, tylko parę koni padło. Trzy kule przeleciały tuż mimo króla, a jedna, jak gdyby nie ważąc się dotknąć głowy pomazańca, u stóp jego w ziemię się zaryła. Nie ruszył się jednak z miejsca Jan Kazimierz, owszem gdy go prosił p. hetman, by się skrył za swoją chorągiew, odparł spokojnie: „Nie zwykłem się rejterować i z większych niebezpieczeństw“. Tymczasem pędził już poczt konny Ubalda w stronę, gdzie stały tatarskie działa, i zmusił je opuścić tę pozycyę, tak niebezpieczną dla Polaków.

Nie mniej bacznie dopatrywano i z polskiej strony stanowiska hana i wnet powiodło się pomścić za zamach na życie królewskie. Choć już zmrok zapadał, dostrzegł przecież Otwinowski bielejący się wielki proporzec pod lasem i poznał po tym znaku, że tam han stać musi. Zaraz więc pan Przyjemski kilka dział w ten punkt wymierzył i dał ognia. Był to ostatni wystrzał działowy dnia tego, bo jedna kula urwała głowę jakiemuś Murzie tuż przy boku hańskim, czem han przestraszony, nie zważając na przedstawienia Chmielnickiego tabor opuścił, i z główną siłą w ucieczkę poszedł. Został tylko oddział jeden, żeby wstrzymywać pogoń, ale i ten, widząc powszechne zamieszanie swoich, prędko tył podał. Rzuciły się polskie chorągwie w pogoń siekąc i bijąc uchodzących, którzy wszystko, co utrudniało ucieczkę, wozy, armaty, pakunki, ba nawet futra i opończe po drodze rzucali, ale noc zmusiła je do odwrotu.

Ciemno już było i deszcz lał jak z konwi, gdy król z wojskiem wchodził w opuszczony kosz tatarski, bogaty w łupy przeróżne. Były tu dwa namioty o dwu drągach, na jednym, należącym zapewne do samego hana, atłasowe bryty, kotarki różne małe i wielkie a z drogiej materyi i dywany kosztowne; wpadły także w ręce zwycięzców: zegar hański pokojowy bijący, srebrny puhar i flasza, kulbaki, szable i strzelby złotem i kamieniami sadzone, rzeczy od stroju rzemiennego mnóstwo, bęben wielki, co go Orda cała słuchała, „albo raczej tułumbas“; gorzałki kilkanaście beczek, bydła wielka moc, żywności także i zboża, mianowicie owsa, co niemiara. Ale król nie dozwolił wojsku ucieszyć i pokrzepić się temi łupy, bo tylko p. Ubalda z oddziałem lekkiej konnicy zostawił przy zdobyczy na straży, sam zaś z całem wojskiem ciągnął ku taborowi, gdzie się byli Kozacy zamknęli i gdzie książe Wiśniowiecki, Stanisław Potocki i w. chorąży Koniecpolski ze swemi pułkami stali, bacząc pilnie by i Kozactwo za Tatarami nie pierzchnęło.

Dwie godzin szło wojsko z królem od kosza pod lasem aż do taboru nad rzeką, przez opuszczone stanowiska wojska nieprzyjacielskiego, tęgą milę, spędzając po kilkakroć pozostałe to tu, to owdzie poczty tatarskie i kozackie, i postępując zwolna i ostrożnie, bo noc była ciemniuteńka, a ulewa i nierówność ziemi utrudniały pochód, i nadto wiedziano, „że to rzecz z przezornym nieprzyjacielem, który zwyczajem Partów nawet uciekając walczy‘. Trudy tego nocnego, uciążliwego pochodu „cukrowali sobie żołnierze *dulcedine victoriae* i prezencyą pańską, która była *anima animans* wojska całego“. Król też nie zważając na deszcz jechał na czele i tak po północy przywiódł wojsko pod tabor, a połączywszy się z stojącemi już tam chorągwiami noc całą do świtu bezsennie, nie zsiadając z konia, na srogim dżdżu wraz z wojskiem całem przepędził. Nazajutrz, dnia 1 lipca zabierano się do zdobycia taboru. Niełatwa to rzecz była; Kozacy bowiem mocno się ufortyfikowali i doskonałą obrali sobie pozycyę, tak, że z jednej strony zasłaniał ich Styr, z drugiej grzęskie brzegi rzeki Pleśni u ujścia jej do Styru. Posłano więc po działa burzące do Lwowa i Brodów, trzymając tymczasem kozactwo w ścisłem obleżeniu. Zajął się król zaraz dnia tego dyspozycyą wakancyi po pozabijanych, a do 80 ich ze znaczniejszych liczono; nieporównanie jednak większą była strata z przeciwnej strony, tak, że stosunkowo nigdy z mniejszym rozlewem krwi polskiej — jak piszą współczesne pamiętniki — nie wywalczono większego zwycięztwa.

Dziesięć dni upłynęło na obleganiu taboru kozaczego, „bo król, nie chcąc zyskiwać tryumfy przez rozlew krwi, umyślił ścisłem obsaczeniem zmusić nieprzyjaciela do poddania się“. Łudzili też Kozacy Polaków traktatami przewlekając z dnia na dzień, próbowali kilka razy umknąć, ale się im nie powiodło, aż rano 11 lipca, wypatrzywszy stosowną porę i usławszy sobie drogę przez rzekę Pleśń z różnych rzeczy, które tylko mieli w taborze, zręcznie, niepostrzeżeni uszli. Nim się opatrzono, byli już daleko po drugiej stronie rzeki i pomykali ku rozległym lasom. Próżnaby była pogoń, więc co żyło runęło w tabor i miły widok zachwycił oczy wszystkich, Kozacy bowiem w pośpiechu odbiegli pieczeń na rożnach, wódki w baryłkach, słonin, jagieł, mąki i łyżek w pełnych garnkach i zostawili wiele krasnych mołodyc na pastwę zwycięzcom. Więc uczta gwarna i wesoła powetowała trudy bojowe, a potem nastąpiło przetrząsanie taboru. „*Praeda opima* tegoż dnia naszym *cessit* — pisze naoczny świadek — armaty dział 18, prochu beczek kilka, chorągwi kilkadziesiąt, ale między innemi chorągiew JKMości, po szczęśliwej elekcyi swojej Chmielnickiemu posłana, czerwona z orłem, druga sławnej pamięci króla Władysława, błękitna, orzeł półbiały, półczerwony“. W zamieszaniu zabito jakiegoś patryarchę, który Ruś podburzał i ujść z kozactwem nie zdołał; dostały się w ręce zwycięzców listy Chmielnickiego do hana, Rakoczego, Porty i cara moskiewskiego, kasa obozowa do 30000 talarów licząca i mnóstwo innych rozmaitych rzeczy i żywności, „coby wyliczać immensum było“.

Pomyślność oręża polskiego na polach Beresteckich nie odniosła jednakże skutku, jakiegoby się po takiem zwycięztwie spodziewać można. Animusz szlachty

jak gdyby doszedłszy zenitu, ostygł nagle, omieszkano przeszkodzić łączeniu się nieprzyjaciela, prędko więc znowu zebrały się kupy Kozactwa i Tatarstwa i dalej groźne Polsce stawili czoło, pustosząc jeszcze przez lat 9 żyzne ziemie Czerwonoruskie, Wołyńskie i Podolskie i mszcząc się za klęskę Berestecką.

Łucyan Tatomir.

Z dawnych dziejów miasta Lwowa.

IV.

Izraelici.

(Dokończenie.)

Przedstawiliśmy w ostatnim artykule dziwne widowisko urzędów i korporacyi miejskich szamocących się bezsilnie przeciw ciągle się wzmagającemu i oskrzydlającemu ich ze wszech stron wpływowi gminy izraelskiej tak miejskiej jak przedmiejskiej, i nie mogących nawet osiągnąć wykonania wyroków przez miasto przeciw jednej i drugiej do r. 1734 uzyskanych. Wspomnieliśmy oraz, iż wyroki te głównie dlatego do wykonania nie przychodziły, że delegowani do tego komisarze królewscy do percepcyi obydwóch stron się ograniczali, i jak tylko przy tej percepcyi Izraelici z nowemi objekcyami występowali, zarzuty te trybunałowi królewskiemu do dalszego rozsądzenia przedkładali. Wiele bez wątpienia w tem winy nieudolności i opieszałości tych komisarzów; ale wiele także policzyć trzeba na karb zawiłości dekretów trybunalskich, ciągłego krzyżowania się sprzecznych przywilejów i dekretów to na korzyść miasta, to na korzyść starozakonnych przez kancelaryę królewską wydanych; wadliwości nareszcie owczesnej procedury sądowej, która wykonanie wyroków sądowych rozlicznemi excepcyami tamować pozwalała,

Na dowód tego rozbierzemy obszerniej dalsze dekreta w tej sprawie od r. 1738 wydane, i pertraktacye, które z nich wynikły.

Pierwszy z tych dekretów 11 lutego w r. 1738 wydany powiada jak najwyraźniej: iż wkrótce po ogłoszeniu dekretów kontumacyalnych z r. 1732 i 1734 Izraelici miejscy o reponowanie takowych jako bez dostatecznego wyjaśnienia sprawy ferowanych prosili, że równocześnie na mocy dekretów kr. Wład. z r. 1638 i 1641 (które im prawo zawierania paktów z miastem warują) o wyznaczenie terminu do zawarcia nowych paktów żądali, — i że nareszcie o to podali, aby przed wyekzekwowaniem wynadgrodzenia miastu przysądzonego kwotę indemnizacyjną obliczono, która im się nawzajem od miasta za szkody przy excessach z r. 1664 poniesione należy.

Uwzględniając to żądanie, postanowił ktòlewski sąd rzeczonym dekretem z 11 lutego r. 1738 nową komissyę do przejrzenia całej sprawy i oblikwidowania wszelkich wzajemnych pretensyi gminy izraelickiej i miasta, polecając mianowanym do tego komisarzom, aby po ukończeniu tej oblikwidacyi zaraz stanowczo kwotę wynadgrodzenia miastu się jeszcze należącą orzekli, zostawiając obydwom stronom rekurs do króla. Nakazał oraz komisarzom, aby Starozakonnym miejskim termin dwutygodniowy do zawarcia nowych paktów z miastem naznaczyli, a gdyby i ten bezskutecznie upłynął, sami, rozważywszy dawniejsze umowy i zmiany okoliczności, warunki nowych paktów przepisali i też zaraz do skutku przyprowadzili. Równie mieli ci komisarze królewscy nie tylko Izraelitów obcych w ciągu procesu do miasta przybyłych z niego wygnać, ale i miejskich starozakonnych z wszystkich domów po za granicą ulicy będących, bezwłocznie wyrugować. Dopuszczono wyjątek w tym jednym wypadku, gdyby rewizya domów w żydowskiej ulicy stwierdzić miała, iż domy te są w takim stanie, iż w nich żadnych towarów przechowywać nie można. I w tym wypadku jednakowoż nie wolno żydom inszych jak swych własnych towarów trzymać i sprzedawać, wyłączając najwyraźniej merces promiscuas (t.j. zapewnie takie towary, które od obcych lub przedmiejskich Żydów na skład wzięli.) Polecił nareszcie dekret ten komisarzom, aby niezwłocznie znieśli wszelkie służebności, które sobie Izraelici lwowscy na wałach, wieżach i bramach miejskich z wielką szkodą tychże przywłaszczyli, aby ich podczas swej obecności do usunięcia wszystkich gnojów, przez nich na wałach miejskich nagromadzonych, przymusili, i dawniejsze dekreta królewskie, któremi Izraelici do wszystkich ciężarów publicznych pociągnięci zostali, do exekucyi przyprowadzili. Chrześcianie zaś którzy Izraelitom po za żydowską ulicą sklepy i domy swe ponajmowali, mieli być przez komisarzów dokładnie wyśledzeni, spisani, i jeżeli są stanu miejskiego, zaraz karami pieniężnemi obłożeni, jeżeli zaś do rycerskiego lub duchownego stanu należą, sądom królewskim i duchownym wykazani.

Ileż to różnorodnych punktów i czynności komisarzom delegowanym przekazanych, i można że się było spodziewać, żeby ludzie, z dawniejszym tokiem tej sprawy nie obznajomieni, z wszystkich się tych zadań wywiązali, zwłaszcza że im równoczesnym dekretem także i załatwienie ostateczne sprawy ze żydami przedmiejskimi poruczono.

Z jeszcze silniejszemi objekcyami wystąpili albowiem Izraelici *przedmiejscy* przeciw poprzednim dekretom na niekorzyść ich zapadłym. Odwołali się do przywilejów synagogom lwowskim, tak miejskiej jak przedmiejskiej, przez Augusta II udzielonych: twierdzili, że nie tylko do paktów pierwotnych przez miasto z żydami *miejskimi* zawartych przystąpili, ale także jak najwyraźniej dekretem króla Michała w r. 1670 wydanym, objęci i wyszczególnieni zostali. Żądali przeto równie jak starozakonni *miejscy*, aby poprzedzające dekreta królewskie jako bez wyświecenia poprzedniego sprawy wydane, reponowane zostały.

Nie uwzględnił atoli tych żądań wyrok sądów refenskich królewskich z 11 lutego 1738 roku. Przypomniał starozakonnym *przedmiejskim*, że już dekretami królewskiemi z r. 1527 i 1581 im prawo handlowania wiadomemi czteroma artykułami tylko do dwóch lat z tem zastrzeżeniem pozwolone zostało, że po wyjściu tego terminu

wszelki handel żydowski po za murami miasta zupełnie ustać ma—że im warzenie piwa i miodu, palenie wódki i wyszynk rozmaitych trunków po wszystkich przedmieściach juryzdykcyi miejsaiej nie podlegających, już dekretem królewskim za króla Michała *Sabbatho ante festum S. Simmonis et Judae Apostolorum* r. 1670 w sprawie między miastem i starostą lwowskim wydanym, zupełnie zabronionem zostało i że te wyroki dekretem późniejszym króla Michała do którego się skarżący odwołują, tem mniej zniesione być mogły, ile że konstytucya z r. 1659 nie tylko Izraelitom, ale i Chrześcijanom do cechu piwowarów i prażników miodu nie zapisanym, wyrob i wyszynk tych trunków zupełnie zakazuje, konstytucya specyalna z r. 1676 zaś, specyalnie na korzyść miasta Lwowa wydana, jak najwyraźniej pakta przez Izraelitów z miastem zawierane, do handlów w samem mieście prowadzonych ograniczyła — wcale o tem nie mówiąc, iż powołany przez skarżących dekret króla Michała z r. 1670, późniejszym tego samego króla dekretem wyraźnie cofniętym został.

Również wykazał dekret niniejszy Izraelitom *przedmiejskim*, iż późniejszemi przywilejami króla Jana III. wszystkie prawa i przywileje miasta Lwowa a mianowicie wyłączne jego prawo dotrzymania wagi i woskobujny, potwierdzone, a składy soli i drzewa Izraelitom już poprzedniemi dekretami kontumacyalnemi zabronione zostały. Potwierdził więc król na nowo wszystkie dawniejsze dekreta przeciw Izraelitom przedmiejskim wydane i polecił komisarzom w sprawie miejskiej mianowanym, aby rzeczone dekreta z siłą wojskową lub za pomocą cechów do wykonania przyprowadzili, starozakonnych z przedmieścia halickiego zupełnie wygnali, właścicieli domów i dworków, browarów i szynków przedmiejskich, którzy takowe żydom wynajęli, bez względu na ich stan, przed siebie zawezwali, przywileje, któremi by się bronili, jako nieważne, w imieniu króla skasowali i żydów przedmiejskich raz na zawsze bez względu na juryzdykcyę starościńską lub wojewodzką, do udziału w ciężarach miejskich zobowiązali.

Zobaczmy teraz, jak się komisarze królewscy z tych żądań wywiązali.

Zjechawszy do Lwowa jeszcze w tym samym roku, poczęli od rewizyi domów i sklepów tak w ulicy żydowskiej jak po za nią w posiadaniu Izraelitów znajdujących się. Przy tej rewizyi okazało się, iż domy i sklepy w żydowskiej ulicy w tak nędznym rzeczywiście znajdowały się stanie, do takiej dezolacyi przez niechlujstwo swych właścicielów przyprowadzone zastały, iż rzeczywistem niepodobieństwem było, przechowywać w nich jakiegobądź gatunku towary. Dozwolili więc zaraz komisarze żydom, aby w ulicy *ruskiej* i nadal swe sklepy za ugodą z właścicielami trzymali. Co się zaś domów chrześciańskich w rynku i na innych ulicach, żydom wynajętych tyczy, znaleziono tak znaczną liczbę *takich domów, że ich spis dwie strony protokołu zabiera.* Mimo to nakazali komisarze wypróżnienie tych domów w rynku i głównych ulicach naznaczając do tego termin dwutygodniowy, w przeciągu którego Izraelici miejscy także nowe pakta z miastem zawrzeć mieli. Tyle uskuteczniwszy i korzystając z nadchodzących świąt wielkanocnych, odjechali komisarze królewscy, powrót swój po dwóch tygodniach obiecując. Powrócili w rzeczy samej na wyznaczonym terminie do Lwowa, jak się z późniejszego dekretu królewskiego z 6. lutego 1744 dowiadujemy, ale dalszych czynności rozpocząć nie mogli, ponieważ Izraelici miejscy nietylko rozkazów poprzednio otrzymanych nie wypełnili, i paktów nowych z miastem nie zawarli, ale do uich nawet przystąpić nie chcieli i zagarnąwszy na nowo wszystkie sklepy i domy przez nich poprzednio zajmowane handel na jeszcze większą stopę w nich rozpoczęli.

Takiego samego oporu, takiego samego lekceważenia doznali także od Izraelitów *przedmiejskich*. Mimo to nie poczytali komisarze królewscy za swój obowiązek, skarcić tę widoczną zniewagę swych własnych rozkazów i reskryptów królewskich. Owszem stwierdziwszy fakta powyższe i zdawszy o nich sądom królewskim relacyę, oddalili się bezzwłocznie. Oburzyło to króla i sąd jego referendarski i spowodowało go do wydania nowego i jeszcze surowszego dekretu z 6. Augusta 1744 jak już wyżej wspomnieliśmy którym Izraelitów jako zuchwałych rebellizantów nietylko od prawa zawierania nowych paktów z miastem ale i od wszelkiego gatunku handlu i zarobkowości odsądził, karę bannicyi przeciwko nim wyrzekł, infamię ich napiętnował, wszystkie sklepy ich zamknąć, zapieczętować, towary w nich umieszczone sprzedać i cenę z tych sprzedaży osiągniętą miastu w zapłacie wylikwidowanej w kwocie 30.000 zł. indemnizacyi oddać kazał.

Taki sam dekret wypadł i przeciwko żydom przedmiejskim.

Aby zaś te dekreta bez wykonania nie pozostały, wysłał zaraz sąd swego woźnego dla ogłoszenia wyroku infamiae i banicyi, który to zaraz uskutecznił: do wykonania resztujących punktów zaś mianował nowych komisarzów, między którymi kilku wojskowych, zabraniając im wszelkich dalszych percepcyi dochodzeń, i obowiązując ich do ścisłego wypełnienia zapadłych wyroków.

Czy te wyroki rzeczywiście wykonanemi zostały, niewiadomo, tyle tylko pewnem, że rząd austryacki po zajęciu Galicyi Izraelitów w posiadaniu handlu i sklepów poza ulicą żydowską zastał. Izraelici tak miejscy jak przedmiejscy nietylko do handlu wszelkiego wykluczeni byli, ale nawet jako bannici we Lwowie znajdywać się więcej nie byli powinni, i że taki stan legalny kwestyi żydowskiej zastał rząd austryacki przy objęciu Galicyi.

Al. St.

Kłopoty powieściopisarza.

(Dokończenie.)

Otóż to takie i tym podobne są niemal wszystkie te podsuwane temata do powieści z zdarzeń rzeczywistych. A przecież są ludzie, którym się w żaden sposób w głowie pomieścić nie może, aby jakakolwiek powieść mogła być od początku do końca prostym tworem wyobraźni autora i choć w części nie opierała się na wypadkach rzeczywistych, na pewnych skandalikach prywatnych.

Korzystając z tego uprzedzenia mniej oświeconej publiki jeden rzezimieszek umysłowy fundował do niedawna całą swą reputacyę literacką na tem, że wobec znajomych i nieznajomych mienił się pod sekretem inspiratorem czyli rzeczywistym ojcem duchowym wszystkich celniejszych powieści.

— Czytałeś *Myśli bezmyślne*? Prawda dobra, wyborna powieść! To ja plan poddałem autorowi.

I jak wiele innych szalbierstw uchodziło mu i to tak długo, aż pokąd raz nie zainspirował swego własnego pióra i nie wydał na świat ramoty bez sensu i myśli, bez składu i ładu, która raz na zawsze zamknęła mu usta.

Mogą jednak podobne przykłady pojawiać się w łonie samej konfraternii literackiej, to nie ma się bynajmniej czego dziwić, jeśli biednego powieściopisarza wyszukują niepiśmienni symplicyusze i z papierem i ołówkiem w ręku błagają go na wszystko, by wprowadzone w ostatniej powieści osoby wymienił im w ich rzeczywistych nazwiskach i charakterach.

— Panie dobrodzieju! — zapewniają skromnie — ja nikomu nie powiem, ja tylko dla własnej ciekawości radbym wiedział. Bo widzisz pan dobrodziej ten hrabia Remigiusz, to wiem już z pewnością to nasz hrabia X, ale któż jest ten hrabia Oskar, ta baronowa Krąlosowska, ten adwokat itp.?

Ale dajmy już pokój tego rodzaju utrapieniom powieściarskim.

Przypuśćmy że autor obmyślił sobie sam osnowę, przedrowadził cały plan w głowie, zgodził się z sobą co do charakterów, ułożył tomy, sytuacye i z zupełną otuchą może już przystąpić do pisania.

Ależ brakuje mu jeszcze jednej rzeczy — nazwisk moje państwo. A myślicie że to tak łatwo wyszukać nazwiska? Toż to w tem właśnie jedno z największych źródeł kłopotów powieściopisarza. Nazwiska jak Czcigodnicki, Dobrochęcki, Cnotliwski, Pięknicka, Pysznicka wyszły już z mody, do dzisiejszych powieści trzeba wynajdywać imiona, coby nie grzeszyły nieprawdopodobieństwem, i „męską resonnacyą napełniały gębę“ jak mówili nasi ojcowie a odpowiadały choć w części charakterom, jakie mają wyobrażać.

Imię bowiem, jak powiedział De Maistre a za nim jeden z naszych pisarzy, nie jest to sobie czcze słowo, nie jest to czapka, któraby do tej i do tamtej i do tysiącznej przystała głowy. Imię to żywa idea, to zewnętrzna forma człowieka.

Masz tedy powieściopisarzu! Wykoncepuj imię, któreby nie było ukradzione nikomu, ani żywemu ani zmarłemu, a było żywą ideą, zewnętrzną formą charakteru, jaki założyłeś sobie przedstawić. Nieraz głowę sobie nasmarzysz, jak jeden z naszych nieboszczyków cenzorów, kiedy starał się umotowywać niebezpieczeństwo słowa „nawiasem“ dla spokoju i porządku publicznego, a wykoncepujesz imię do niczego.

Jeśli zaś trafisz na jakieś odpowiednie i prawdopodobne, to gwałtu nie drukuj go za nic w świecie, bo kubek w kubek taksamo nazywa się twój sąsiad lub twoja sąsiadka o ścianę. A ani się możesz spodziewać jaką biedę ściągniesz sobie na kark. Rzeczywisty właściciel pożyczonego przez ciebie nazwiska zerwie się jak raniony lew ze snu i dopiero skąpiesz się po uszy w reklamach, inwektywach, groźbach. *In efigie* zrąbie cię w pojedynku, wpakuje do kryminału i Bóg wie czem jeszcze dotknie cię więcej.

Na przekonanie jeden przykład:

Któryś z naszych powieściopisarzy opisywał w powieści historycznej złupienie grobowca w zamku żółkiewskim i jednego z złoczyńców nazwał Drzazgą. Powieść drukowała sie w jednym z dzienników a zaledwie owa opisana scena pojawiła się w kolumnach, otrzymała redakcya list następującej treści:

Mości redaktorze! Dziennik Waćpana dobrodzieja szerzy niesłychane fałszy i kłamstwa, rzuca kalumnie, kala imiona i miesza nawet spokój nieboszczyków, albowiem żaden z Drzazgów nie okradał nigdy grobowca w Żółkwi. Moja ciotka zna na palcach całą genealogię Drzazgów, moich antenatów, i może zatwierdzić przysięgą, że żaden z Drzazgów takiej zbrodni nigdy nie *uskutecznił*. Proszę zatem, aby redakcya sprostowała ten fałsz lub wykazała na to dowody, tudzież aby mi doniosła, co jest zacz ten autor i gdzie takowy mieszka, albowiem takiej obrazy swego imienia nie mogę puścić płazem. Z uszanowaniem: Mikołaj Drzazga.

Pomijając brzmienie imienia, list ten jest autentyczny co do joty.

Niemniejszy kłopot co imiona własne sprowadzają także opisy i nazwy miejscowości. Rozpoczniesz działanie powieści w jakiemś urojonem miasteczku, w jakiejś wsi, lub na jednej z ulic stołecznych, a zaraz większa połowa czytelników będzie sobie łamać głowę na zabój, aby dociec nazwy rzeczywistej. Przemieniają głoski, czytają wprost i wspak, porównywują najdrobniejsze szczegóły opisów, i po większych lub mniejszych trudach wyprowadzają w końcu, niemylnie, że wieś ta a ta, to siedziba hrabiego X. a zatem p. Pafnucy nie może być nikt inny, tylko sam hrabia, a jego sąsiad Salezy, to oczywiście Xiąże Y. a owa ładna kokietka, to kubek w kubek pani Z.

Jak ów przytoczony powyżej pan Drzazga w imieniu swych antenatów, tak znowu inni w imieniu swych siedzib rodzinnych wystąpią z protestacyami i groźbami przeciw nieszczęśliwemu autorowi.

Wszystko to jeszcze ma swoją stronę humorystyczną, i tego rodzaju przykrości nie wydają się jeszcze tak strasznemi dla powieściarza, narażony on jest na daleko sroższe, bo mające pewien pozór prawdy zarzuty cięższego kalibru.

Wielu, bardzo wielu uważa większą część powieściarzy za publicznych gorszycieli, za korruptorów obyczajów. Zadaniem każdej powieści jest skreślić obraz życia ile możności wierny prawdzie a zidealizowany artystycznemi względami i wymaganiami. Przedewszystkiem chodzi o tło takiego obrazu a dopiero na niem można przeprowadzać pewne zasady, dążności moralne i patryotyczne. Komu w powieści więcej chodzi o przeprowadzenie zasady niż o skreślenie obrazu życia, ten chyba nie czuje w sobie siły i nauki do napisania dobrego traktatu społecznego lub politycznego i woli nagryzmolić liche powieścisko.

Kreśląc jednak artystyczny obraz, wzniesiony wprawdzie nad nagi realizm ale ugruntowany zawsze na prawdopodobieństwie rzeczywistem, moznaż zapatrywać się przez pryzmat bezwzględnego optymizmu, moznaż obok promieni świetlanych pominąć wszystkie w ogóle cienia?

Można napisać dobre opowiadanie moralne dla dzieci, ale niepodobna napisać dobrą powieść społeczną, zakładając sobie z góry pisać *in usum Delphini.*

Ileż to jednak wrzawy i hałasu! jeżeli autor dość wydatnie zacieniuje swój obraz i obok poczciwców maluje także con amore łotrów i urwiszów.

— Po co nam spotykać takie postacie w książkach, których unikamy w świecie, po co się zajmować charakterami w tworach idealnych, które sprawiają obrzydzenie w rzeczywistości.

Cóż na to odpowiedzieć, kiedy zaczną ci dowodzić matematycznie, że dzisiejsza urojona korrupcya obyczajów we Francyi jest tylko skutkiem wczytywania się w powieści Eugeniusza Sue, Jerzego Sand, Pawła Kock i t. p. Oni to oswoili lud z zapomnieniami się zmysłowości, oni zachwiali i splugawili powagę i świętość węzłów małżeńskich, oni osłabili grozę przed srogiemi wybuchami namiętności.

Takiesame zarzuty możnaby już słyszeć i o niektórych powieściopisarzach naszych.

Nikt nie zaprzeczy, że miłość jest najszlachetniejsza z uczuć, jakie natura wlala w pierś człowieka. We wszelkich perypecyach życia społeczeńskiego miłość jest, była i będzie najcelniejszym czynnikiem, najpotężniejszą dźwignią objawów tego życia.

Każdy obraz życia musi się opierać na tej potędze silnej a szlachetnej. Powieść bez walk i zawikłań miłośnych jest niepodobną.

A otóż i z tej strony pada ciężki zarzut na powieściopisarzy. Rozkwili się w miłośnych drgnieniach serca jakie dziewczę niedojrzałe, wina to czytanych powieści, że tak uroczemi barwy malują pierwsze budzenie się, pierwsze rozkwity uczucia. One, nikt inny, wydają się w oczach troskliwych rodziców mącicielami spokoju pól dziecinnych córeczek i gołobrodych synalów.

Gdyby nie ułudne androny romansów, panna oddałaby rękę na oślep za wolą rodziców, tak zaś obałamucona, odurzona, oszołomiona marzy o jakiejś niedorzecznej harmonii duchowej, o parzystości serca i skłonności.

Kochany synalek jeszcze z dziesięć lat ślęczałby nad książką i rumienił się na sam widok białogłowy, ale nieszczęsne wczytanie się w romansach zawróciło mu głowę i zagnało w zaczarowane koło spojrzeń czarnobrewej lub jasnowłosej krasawicy.

Nie na tem koniec: zapomni się jaka mężatka i zrazi się do łysiny mężowskiej — znowu nieochybny wpływ powieści, które tak uporczywie silą się przedstawiać uroki wzajemnego zrozumienia się dusz i serc, a w tak smutnych i strasznych barwach przedstawiają skutki małżeństw niedobranych!

Łysy małżonek byłby dla swej zacnej połowicy do śmierci ideałem dobrego męża, gdyby nie przeklęte obałamucenie romansowemi banialukami. Każdy szczęśliwy kochanek w powieści musi mieć czuprynę, przez powieść więc jedynie przedstawiła się małżeńska łysina w całej nagości obałamuconej małżonce.

Niedawno napisał jeden z znakomitych naszych autorów:

Szacunek ziomków drogi a w rozgłosie sławy
Jest powab, jest potężna i durząca siła.
Dawniej młodzian gdy do tej zabierał się wyprawy,
Ciął odę a panienka sielankę kwiliła.
Gdy czas dał inną formę poetycznej treści,
Dziś każdy dla imienia gryzmoli powieści.

Teraz nie powtórzyłby już tego. Dziś właśnie niwa powieści najmniej nowych zdolnych przywabia woluntaryuszów. Mało w ogóle pojawia się nowych belletrystów a ci zaraz na pierwszych ślizgają się próbach i nie chcąc na nowo niebezpiecznej ważyć się imprezy, rzucają klątwę na belletrystykę i piszą — dzieła krytyczne.

Nie mało do tego odstraszenia od belletrystyki przyczyniają się zapewne i te mnogie kłopoty powieściarzy, jakich nie wyliczyliśmy tutaj jeszcze ani w setnej części.

Ale cóż radzi nie radzi musimy poprzestać na tem obecnie. Miejsce przeznaczone dla nas w dzisiejszym numerze toczącego się ku grobowi Kółka jest już zapełnione, a o więcej nam nie chodziło.

Ł. W.

Jan Nep. Kamiński.

Z całego kraju wpływują składki na wystawienie pomnika J. N. Kamińskiemu. Radością napełnia nas ten objaw życia narodowego, ta cześć dla ludzi pracy i zasług w ojczyźnie.

Przy tej sposobności potrącamy myśl co do samego pomnika.

Zdaniem naszem mąż zasłużony stawia sobie sam w dziełach swoich pomnik wiecznotrwały. Z funduszów zebranych na postawienie pomnika możnaby uskutecznić wydanie wszystkich dzieł Kamińskiego, a korzyść z sprzedaży tychże obrócić na sam pomnik. Tym sposobem osiągniętoby dwa cele.

Czem był *Wojciech Bogusławski* a po nim *Adam Dmuszewski* dla sceny warszawskiej, czem był *Konst. Majeranowski* w części (bo tylko pod względem repertoaru) dla sceny krakowskiej, tem był *Kamiński* dla sceny lwowskiej. — Bogusławskiemu wystawiono pomnik za życia, bo wydano dzieła jego (w 12 tomach) w r. 1820 — 23 i w 1000ciu egzemplarzy rozchwytano prenumeratą. — Jednocześnio r. 1822 — 3 *Dmuszewski* znalazł pokup na 10 tomów swoich dzieł scenicznych; nawet *Jan Jasiński* mniej zasłużony, wyszedł dobrze na wydaniu 15 tomów prac dramatycznych (r. 1838 — 9) — Po zgonie *Majeranowskiego* nikt nie zebrał prac jego, więc zaginęła pamięć o zasługach jego dla sceny. Maż toż samo stać się i z *Kamińskim?* Czyż będziemy wykuwać posągi dla niego, a zapomnimy jakie prace on pozostawił i dozwolimy im zbutwieć do reszty?

Przypomnijmy sobie w krótkości życie *Kamińskiego*: — W r. 1798 daje Begusławskiemu przekład opery: Drzewo Dyanny i dwie komedye, i sam próbuje kroków swoich na scenie. Roku 1799 grywa i urządza teatr amatorski Wronowskiego. R. 1804 wzbraniają mu grać po polsku, więc opuszcza Lwów i grywa w Dubnie i Kamieńcu. R. 1805 drukuje w Minkowcach swój przekład Hamleta. Od r. 1806 — 9 bawi z Kar. Lipińskim a potem z kompanią artystów w Odessie. R. 1809 wraca do Lwowa stara się o koncessyą, lecz dare-

mnie, bo teatr niemiecki mając przywilej obawia się rywala. Otrzymuje nakaz opuszczenia Lwowa, nie chcą go dopuścić do Gubernatora — i dopiero fortelem otrzymuje audyencyą, i po wielu nieprzyjemnościach, wytrwaniem zdobywa koncessyą na dawanie widowisk polskich. W r. 1811 organizuje ostatecznie teatr polski, formując kompanią z artystów, którzy na długie lata byli ozdobą sceny.

Kamiński snać umiał wyszukiwać i oceniać talenta skoro zebrał towarzystwo osób odznaczających się wyższą zdolnością i przewodniczył im przez lat trzydzieści, aż póki po daniu przeszło trzech tysięcy widowisk, nie oddał steru sceny w ręce Hr. *Skarbka.*

Kamiński był sam w młodszych leciech dobrym artystą. Grywał do r. 1820 i miewał powodzenie w roli Regulusa, w tragedyi Kollina, w rolach Imperatora (Łaska Imperatora), Ekonoma (w Krakowiakach), Müllera (w Człowiek popielaty), Hr. Giosione (Noc w zamku Paluzzi), Płaksy (Płaksa i Wesołowski), Sapera (Saper w górach pirenejskich), Walborna (Córka natury), Jenerała (w Beniowskim), Minucyusza (w Koryolanie), w sławnie odgrywanej roli Figara (Dwaj Figarowie), Piotra W. (Wójt saardamski) i t. p. bywał widywany z upodobaniem i nie ginął obok swoich towarzyszy.

Od r. 1820 zaprzestał grywać, po ośmiu leciech dopiero wystąpił na nowo d. 7. list. 1828 w roli Majora (w Emilii Galotti) i potem w roli Makbeta. Odtąd przez lat dziesięć grywał w rolach rozmaitych. Celował w komicznych rolach Bakałarza (w Czaromyśle) (w Przytomności umysłu), więcej jednak grywał role poważne, rzadko atoli występując.

Dnia 18. msrca 1841 oddał Hr. Skarbkowi klucze od starego teatru, i odtąd niewiele miał udziału w zarządzie sceną lubo pozostał nadal reżyserem.

Oprócz utworzenia i utrzymania sceny lwowskiej, zasłużył się Kamiński jako poeta, myśliciel i autor dramatyczny, jako redaktor „Gazety Lwowskiej“ i „Rozmaitości“ przy których kształciły się wszystkie pokolenia literatów galicyjskich, zawdzięczających jemu nie jedną zdrową radę, nie jedną wskazówkę w rozwoju swego talentu literackiego.

Był czas, kiedy ognisko piśmiennictwa w Galicyi skupiało się w obok Kamińskiego tak, jak scena widziała w nim swe ognisko. Dzieła więc Kamińskiego mają do tego i historyczną i literacką wartość.

Nie wybierając dzieł dobrych, a nie odrzucając złych, należałoby komplet ich zebrać tak jak zrobił *Bogusławski.* Ten wydał w 12 tomach 60 prac swoich, podał historyą teatru narodowego warszawskiego.

Tak samo należy postąpić z dziełmi Kamińskiego, tak samo zaopatrzyć je dziejami sceny lwowskiej i biografiami artystów i kompozytorów oper i ich portretami. Historya sceny lwowskiej dokładna, i biografie artystów są niemal gotowe, i mogłyby na ten cel chętnie być użyczone i wykończone. Rękopisma po Kamińskim ma zapewne syn Mieczysław i biblioteka teatru lwowskiego.

Wprawdzie L. Pietrusiński w Warszawie ogłosił, że wydaje dzieła Kamińskiego, ale nie będzie w nich całości, ani systemu, jakoż dotąd ograniczono się na wydaniu Krakowiaków.

Zebrałoby się 12 potężnych tomów dzieł Kamińskiego, które ozdobione wizerunkami artystów i kompozytorów, byłyby trwałą pamiątką po twórcy sceny lwowskiej. Do opracowania biografii zmarłych artystów, przymnożyliby materyałów żyjący dotąd artyści, jak równie do biografii kompozytorów, nie uskąpiliby szczegółów żyjący jeszcze muzycy.

Składkami prywatnemi i dochodem z widowisk i koncertów, tudzież rozpisaną prenumeratą pokryłyby się koszta wydania, a jeżeliby prenumerata poszła tak dobrze, jak prenumerata dzieł Bogusławskiego, zebrałby się z pamiątki tej nie tylko fundusz dla pozostałej rodziny, ale i fundusz, mogący być przeznaczonym na postawienie pomnika autorowi Krakowiaków.

A. B. C.

Sprostowanie: W artykule „Z dawnych dziejów miasta Lwowa“ prostujemy następujące pomyłki:

Str. 547, przedz. 1. wiersz 16 z dołu zamiast „R. 1352“ czytaj „R. 1356“. Przedz. 2. w. 10. z góry zam. „Todlejowej“ cz. „Todbejowej“. w. 36 z góry zam. „na nich“ cz. „na wszystkich Łaciników“. — Str. 550. prz. 1. w. 25 z góry zam. „Vicesgercutes lorum“ cz. „Vices gerentes locum“., wiersz 26 z góry zam. „tegoż zależał“ cz. „tegoż duchowieństwa należał“. wiorsz 14 z dołu zam. „niego“ cz. „siebie“., wierz 10 z dołu zam. „Vladica“ cz. „Vladicæ“. —Str. 551 przedz. 1. w. 26. z góry zam. „swego przybrał imie Gadeona“ cz. „swego, przybrał imie Gedeona“. — Str. 566. przedz. 1 w. 6. z dołu zam. „wydali“ cz. „wydał“., prz. 2. w. 3. z góry zam. „wprawdzie“ cz. „jednakże“., wiersz 22. z dołu połóż znak cudzosłowu przed wyrazem Nakazano., w. 25. z dołu zamknij cudzosłów po wyrazie nadwerężać. — Str. 567 przedz. 2. w. 27. z góry zam. „z ducha“ cz. „z natchnienia ducha“, w. 37. z góry zam. „wówczas“ cz. „nowemi“. — Str. 582. przedz. 1. w. 2. z góry wypuścić cały ustęp „i tego się też nigdy nie domagali“., w. 13. z dołu zam. „posiadali“ cz. „posiadały“. — Str. 583. przedz. 1. w. 25. z dołu zam. „jedzenia ł picia“ cz. „jedzenia i picia“. — Str. 584. prz. 1. w. 8. z góry zam. „4000 złp. ale 1400 złp. zdaje się na comblat“ czytaj „4000 złp. ale 1400 złp. zdaje się na ośm lat“, prz. 2. w. 1. z góry zam. „szczupłą, surową,“ cz. „surowo szczupła“, w. 3. z góry zam. „wyłączną“ cz. „wyłączaną“. w. 7. z góry zam. „jedyne to“ czytaj „jedynie za to“. — Str. 585. przedz. 1. w. 2. z góry zam. „4000 na jarmark“ cz. „4000 złp. — na jarmark“. wiersz 4. z góry zam. „resztujących“ cz. „resztujące“, wiersz 7. z góry zam. „opłacili“ cz. „zapłacili“, w. 12. z góry zam. „uprowadzając“ cz. „wprowadzając“, w. 21. i 22. z góry zam. „jawna, ciągła i tem skuteczniejsza“ cz. „jawną, ciągłą i tem skuteczniejszą“.

— Staraniem kilku tutejszych literatów wyjdzie w pierwszych miesiącach nowego roku pismo zbiorowe pod nazwą „Noworocznik“ poświęcony młodzieży. Wybór artykułów starannie opracowanych odpowiada gorącym wymaganiom czasu. Mile witamy książkę, która podana do rąk publiczności przyczyni się zapewne do rozbudzenia życia i rozgrzania serc naszych. Dochód z tej książki jest na wsparcie ubogiej młodzieży. Prenumeratę w ilości 1 zł. 20 kr. odbiera księgarnia Wilda.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.

